GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 PAŹDZIERNIKA 1937 R.

Nr. 17–18 ROK VII

FINANSE KOMUNALNE
MAURYCY JAROSZYŃSKI

KONIUNKTURA I PODATKI
FRANCISZEK KOZŁOWSKI

WIEŚ SIĘ RUSZA
STANISŁAW OZIMA

ATAKI NA KONIUNKTURĘ
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

UWAGI
ZBIORY
KOORDYNACJA
PARCELACJA A INWESTYCJE PRZEMYSŁOWE
DODATNI BILANS HANDLOWY
TROCHĘ DEMAGOGII

TRANZAKCJE KOMPENSACYJNE
HENRYK TAUBENFELD

NOTATKI
NIESAMOWITA OCHRONA
SOLIDARNOŚĆ
TOUT COMME CHEZ NOUS
NIEPOKOJĄCE SKŁONNOŚCI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NAROWODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 17—18

1937 R.

1 — X

MAURYCY JAROSZYŃSKI

FINANSE KOMUNALNE

Konieczność realizowania ogólnych zadań państwowych na terytorium całej Polski wymaga rozszerzenia podstaw finansowych gospodarki komunalnej.

Jedyną drogą do tego celu jest droga podatków bezpośrednich.

Przy rozważaniu — a niestety także i decydowaniu — sprawy finansów samorządu terytorialnego, zaznacza się stale i zaznaczył się znowu z okazji traktowania tej materii w wiosennej sesji izb ustawodawczych, dotkliwy brak szerszego spojrzenia na samorząd. Brak nam, jak to słusznie zaznaczono na łamach „Gospodarki Narodowej" jakiejkolwiek jednolitej „doktryny" samorządu. Mówiąc prościej — nie mamy jeszcze powszechnie przyjętego i w świadomości ogółu ugruntowanego poglądu przynajmniej na minimalną rolę samorządu w całości zorganizowanego życia zbiorowego w ogóle, a gospodarstwa społecznego w szczególności.

Teoria uporała się już dawno z problemem samorządu. Co więcej, mniej więcej w zgodzie z teorią przebrnęło przez zagadnienie samorządu pozytywne prawo ustrojowe w Polsce (mam tu na myśli zarówno normy konstytucyjne, jak i zwykłe normy o ustroju samorządu). A jednak owe zasadnicze i *obowiązujące* już w postaci norm rozstrzygnięcia — jak gdyby spłynęły po wierzchu i nie dotarły do głębi świadomości nawet pośród czynników, powołanych do decydowania. Bo ilekroć zajdzie potrzeba dalszych konkretnych rozwiązań, które powinny być tylko prostą konsekwencją przyjętych już i obowiązujących założeń, wtedy rozpoczyna się przysłowiowy taniec od pieca. Rozpala się dyskusja na „pryncypialne" tematy roli samorządu, wypowiada się herezje w stosunku do obowiązujących założeń albo wręcz pospolite absurdy.

Wypadek taki zachodzi z reguły wtedy, kiedy projektowane rozwiązanie ma chwycić kogokolwiek za kieszeń. Wtedy dyskusje stają się najbardziej namiętne i najbardziej zasadnicze. Albowiem, wiadomo, interes prywatny czy grupowy lubi chodzić na koturnach zbawienia ojczyzny.

Bądźmy jednak sprawiedliwi: brakiem szerszego poglądu na samorząd grzeszą nie tylko ci, którym grzech ten dobrze robi na kieszeń. Jego zasięg jest niestety o wiele rozleglejszy.

Byłoby wszak truizmem wywodzić, że samorząd jest jedną z komórek współczesnego państwa, powołaną do wykonania określonych czy tylko wytyczonych zadań państwowych. O tem wie niemal każde dziecko w szkole. A przecież ilekroć na porządku dziennym staje sprawa finansów komunalnych, rozprawia się o samorządzie, jakby to była jakaś osobna poza państwem stojąca kapliczka, w której modlą się tylko specjalnego autoramentu sekciarze, zwani samorządowcami.

Jakżeż się bowiem u nas rozumie tzw. „konieczności państwowe"? Tylko i wyłącznie w granicach formalnego budżetu państwa. Albo w najlepszym razie przyznaje się z góry bezwzględne pierwszeństwo wy-

datkom, objętym budżetem państwa, przed wszystkimi innymi, w szczególności samorządowymi. W następstwie takież bezwzględne pierwszeństwo przyznaje się daninom państwowym przed komunalnemi.

Stanowisko takie pozwala różnym sferom zagrożonych interesów osobistych i grupowych stroić się w pióra lojalnej i ofiarnej państwowości. Powiadają mianowicie: wprawdzie przedsiębiorstwa nasze czy objekty przynoszą straty, ale ponieważ państwo istnieć musi, wobec tego trzeba przyzwolić na daniny państwowe. Ale samorząd? Ten niech poczeka na powrót i wzrost rentowności.

Do jakich absurdów można dojść idąc po zaznaczonej drodze rozumowania, świadczy najdobitniej którakolwiek z wielu dziedzin, gdzie realizacja zadania państwowego jest podzielona pomiędzy rząd i samorząd. Np. szkolnictwo powszechne. Mianowicie: będą nauczyciele, bo tych utrzymuje państwo, lecz nie będzie szkół, bo te zakłada i utrzymuje samorząd.

Problem, o który chodzi, zyskuje na jasności, jeśli się go naświetli jeszcze od innej strony. Mianowicie: zachodzi konieczna potrzeba miarodajnego ustalania i *wypowiadania* programów realizacji zadań państwowych, odpowiadających aktualnym warunkom. Trzeba na chwilę zapomnieć, *kto* ma zadania realizować, natomiast należy zdecydować *co* się musi, *co* trzeba i *co* można zrobić. Tego rodzaju decyzja nie obejdzie się oczywiście bez bardzo ciężkiej walki. Ale jedynie na takiej płaszczyźnie prowadzona *otwarta* walka może w swoim wyniku tchnąć realną treść w nadużywany dziś frazes o „koniecznościach państwowych". (Nie chcę przez to powiedzieć, że program działania należy zamknąć w granicach wyłącznie *konieczności* państwowych).

Niestety, nasze życie państwowe cechuje dziwna niechęć do układania i wypowiadania programów. Nawet programów *działania*, ograniczonych do krótkiego czasu. Tak np. w debatach nad budżetem państwa w izbach ustawodawczych, które stanowią jedną z nader nielicznych okazji do publicznej rozprawy w sprawach programowych, daje się zauważyć *ze wszystkich stron* tendencje do zacieśniania się w granicach formalnego przedłożenia i lekkiego tylko przepływania przy pomocy ogólników nad problemami działania (przecież również państwowego!), które w budżecie państwa nie znajdują cyfrowego wyrazu.

Twierdzę, że zagadnienie finansów komunalnych zepchnięto na fałszywą płaszczyznę dyskusji i walki, na której się przeważnie ścierają argumenty, wynikające ze zbyt ciasno pojmowanych interesów: podatników, fiskusa państwowego i fiskusa miejskiego. Po tej drodze nie dojdziemy na pewno do rozstrzygnięcia, odpowiadającego w pełni interesom państwa.

* *
*

Fałszywa płaszczyzna dyskusji na temat reformy finansów komunalnych jest przyczyną zjawiska, że na pozór wszyscy mają rację. Bo każdy z zainteresowanych znajdzie w gospodarce sześciuset miast polskich mniej lub więcej prawdziwe fakty, odpowiadające postulatom, zgodnym z jego interesem. Prawdziwe fakty uogólnia się i dochodzi się do fałszywych wniosków.

Inaczej wyglądałaby sprawa, gdybyśmy ją przenieśli na właściwą płaszczyznę: konieczności zrealizowania pewnych zadań państwowych *wszędzie*, na terytorium całego państwa i w pewnym, *minimalnym, jednakowym* stopniu. Wtedy trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie np. w ten mniej więcej sposób: ponieważ miasto X gospodaruje rozrzutnie, a miasto Y ma zarząd komisaryczny, więc niechaj miasto Z skazuje dalej swoje dzieci na gruźlicę, trzymając je w skandalicznych pomieszczeniach szkolnych. A tak się, niestety, odpowiada...

Głównym argumentem, przemawiającym za rozszerzeniem podstaw finansowych samorządu, jest stwierdzona niemożność minimalnego nawet wywiązania się przez *wiele* samorządów z obowiązków, które *należy* uznać za odpowiadające minimalnemu programowi państwowemu. I odpowiedź na pytanie, co za takie obowiązki uznać, powinna być podstawą rozwiązania kwestii finansów.

Osobiście wielokrotnie wypowiadałem się na ten temat merytorycznie i nie chcę się powtarzać. Natomiast chcę jeszcze mocno podkreślić inny moment i argument.

Polityka miast naszych spotyka się z różnych stron z surową krytyką. I ja ją oceniam krytycznie. Ale przede wszystkim dlatego, że jej właściwie wcale nie ma i być w dzisiejszych warunkach finansowych nie może. Bo dochody i wydatki miast są naprężone do ostateczności. Tymczasem nie tylko nowe przedsięwzięcia, ale i wszelkie bardziej zasadnicze przedstawienia i przesunięcia w tem wszystkim, co się robi, wymagają z reguły pewnej swobody finansowej, pewnych luzów, których na ogół nie ma. Gospodarze miast naszych są przeważnie postawieni w stan konieczności.

Generalnym, jeśli się tak wyrazić wolno, błędem w polityce naszych miast (i nie tylko miast) jest, zdaniem moim, brak głębszych *podstaw społecznych*. Jeśli się mianowicie bliżej wejrzy w gospodarkę poszczególnych, nawet najlepiej postawionych jednostek komunalnych, wtedy się dopiero widzi, jak nam daleko (często wprost skandalicznie daleko) do realizacji tak bardzo dla samorządu elementarnej zasady, jak *powszechność użyteczności* wszelkiego rodzaju *urządzeń komunalnych*. Skoro nawet szkoła, powszechna de iure, nie jest u nas powszechną de facto, to co dopiero mówić o innych urządzeniach. Znaczenie wielu, niemal wszystkich kulturalnych dorobków, którymi się cieszymy, przeglądając globalne dane statystyczne, bardzo blednie, jeśli się zważy, jak wielki procent mieszkańców jest pozbawiony faktycznej możności korzystania z nich. Nieraz odnosi się wrażenie, że istnieją one tylko dla celów „reprezentacyjnych".

Gdyby chodziło o wytyczenie generalnego kierunku polityce komunalnej na czasy najbliższe, wtedy powiedziałbym *raczej w szerz*, aniżeli *wzwyż*. W porównaniu z rzeczywistością — bardzo istotne przestawienie. Ale dokonanie go na większą skalę wydaje mi się wielce problematyczne bez rozszerzenia podstaw finansowych gospodarki komunalnej. Choć oczywiście i małych możliwości, jakie istnieją, lekceważyć nie trzeba.

Tym sposobem dochodzimy do poważnego problemu, który (niestety) jest w pewnej części równocześnie problemem podatkowym. Mianowicie chodzi o *przedsiębiorstwa użyteczności publicznej*. Jak słusznie zaznaczono na łamach „Gospodarki", dochody z tej kategorii przedsiębiorstw (a raczej przelewy z przedsiębiorstw do budżetów ogólnych) stanowią de facto podatek pośredni, obciążający konsumentów. Sytuacja jest jednak o tyle jeszcze gorsza, że tylko pewną część przelewów można uznać za „zysk", wypracowany przez przedsiębiorstwo przez nadmiernie wysokie ceny. Poważna natomiast część przelewów (obawiam się, że większa) pochodzi po prostu z dewastacji przedsiębiorstw.

Dążenie do realizacji zasady powszechności w gospodarce miejskiej nie pozwala brać pod uwagę koncepcji, którą z pewnej strony wysunięto, aby w podniesieniu dochodowości przedsiębiorstw szukać ratunku dla finansów miejskich. Wręcz przeciwnie, elementarność potrzeb, którym ta kategoria przedsiębiorstw odpowiada, wymaga bezwzględnie likwidowania anormalnego stanu dzisiejszego i przywrócenia przedsiębiorstwom właściwego im charakteru użyteczności publicznej czyli powszechnej. Ponieważ zaś samo wewnętrzne usprawnienie przedsiębiorstw (na którego dokonanie potrzeba zresztą również nowych nakładów) na pewno nie wystarczy, przeto liczyć się trzeba w niedalekiej przyszłości raczej ze zmniejszaniem się, aniżeli ze zwiększaniem przelewów i to bez względu na ich faktyczny charakter.

Dla poprawy sytuacji finansowej samorządu pozostaje zatem tylko droga podatków bezpośrednich.

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

KONIUNKTURA I PODATKI

Osią wahań koniunkturalnych jest polityka kredytowa. Podatki są pod tym kątem zagadnieniem doniosłym, lecz jednak wtórnym.

Właściwością rzadkich wystąpień publicznych prof. Adama Krzyżanowskiego jest to, że nigdy nie mijają one bez echa. Wynika to bez wątpienia nie tylko z osobistego autorytetu krakowskiego ekonomisty, lecz i stąd, że w przeciwieństwie do szeregu innych przedstawicieli nauki, zabierających głos na tematy polityki gospodarczej, prof. Krzyżanowski ma poglądy wyraźne, wypowiada zdania zdecydowane. W wystąpieniach swych prof. Krzyżanowski jest istotnie klasykiem, nie tylko w tym sensie, iż pozostaje wiernym klasycznym doktrynom ekonomicznym, lecz i w tym sensie, że tezom swoim i poglądom nadaje jasną, zdecydowaną, — klasyczną konstrukcję.

Ostatnie wystąpienie prof. Krzyżanowskiego, ściślej biorąc przeprowadzony z nim wywiad, poświęcony jest uzasadnieniu tezy, iż obniżenie stawek podatkowych i nie powiększanie wydatków jest dzisiaj jedyną właściwą drogą utrwalenia i wzmożenia koniunktury. Prof. Krzyżanowski ostrzega przed powiększaniem stawek podatkowych i przewiduje skromny tylko wzrost dochodów przy obecnych normach obciążenia podatkowego, zaś wzrost ten pragnie wyzyskać na spłatę zobowiązań Skarbu, odtworzenie rezerw Skarbu i instytucji państwowych oraz odciążenie rynku sztywnego od przymusowych lokat. Poglądy prof. Krzyżanowskiego oparte są na dwóch założeniach: 1) że wszelki wzrost obciążenia publicznego prowadzi do osłabienia tempa życia gospodarczego, 2) że „dalszy poważny, silny i zwłaszcza szybki wzrost produkcji, zatrudnienia i t. d. nie wydaje się u nas bardzo prawdopodobny" ze względu na prawie całkowicie wyczerpaną zdolność produkcyjną przemysłu.

Oczywiście, jeśliby te przesłanki nie mogły być zakwestionowane, to trudno byłoby poddawać w wątpliwość dalsze wyprowadzane z nich wnioski. Nie wydaje się jednak, aby można było w pełni przyjąć punkty wyjścia rozumowania prof. Krzyżanowskiego. Pojmowanie obciążenia publicznego jako li tylko obciążenia życia gospodarczego odpowiada całkowicie takim warunkom, w którym państwo ograniczałoby się do funkcyj administracyjno - policyjnych, kiedy budżet państwa byłby ściśle budżetem konsumcyjnym, nie zawierającym w sobie żadnych możliwości wzmagania produktywności gospodarstwa społecznego.

W takim fikcyjnym państwie (a dodajmy, że od tego typu państwo współczesne odbiega coraz bardziej) wzrost obciążeń publicznych nie byłby niczem innem, jak przydzieleniem większej porcji dochodu społecznego grupie funkcjonariuszy państwowych, grupie nie produkującej bezpośrednio, a tylko pośrednio ułatwiającej (w zasadzie przynajmniej, — w praktyce nieraz utrudniającej) wytworzenie dochodu społecznego.

Zupełnie jednak inna treść kryłaby się w pojęciu obciążenia publicznego, gdybyśmy sobie wyobrazili

państwo o silnej w budżecie przewadze wydatków produkcyjnych nad konsumcyjnymi, a więc np. państwo o potężnie rozwiniętej przedsiębiorczości etatystycznej. W tym wypadku wzrost obciążenia publicznego — pod warunkiem oczywiście zużytkowania tego wzrostu na cele produkcyjne — bynajmniej nie byłby równoznaczny ze zmniejszeniem możliwości produkcyjnych; po prostu obciążenie gospodarki niepublicznej zmniejszyłoby rentowność przedsiębiorczości prywatnej, zwiększając równocześnie możliwości ekspansji przedsiębiorczości etatystycznej.

Jeślibyśmy sobie dodatkowo wyobrazili, że w tego rodzaju państwie przedsiębiorcy prywatni tezauryzują gromadzone dochody (np. z obawy przed wojną), zaś państwo uruchamia nowe dziedziny wytwórczości mające korzystne warunki rozwoju i nie będące dublowaniem niewykorzystanych inwestycyj prywatnych, — musielibyśmy stwierdzić, że w tym wypadku wzrost obciążenia publicznego jest środkiem podwójnie ożywiającym życie gospodarcze. Byłby on w tym wypadku jedynym środkiem przeciwdziałania deflacyjnym skutkom postawy przedsiębiorców prywatnych i kierowałby wygospodarowany dochód społeczny we właściwym, produktywnym kierunku.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, ażeby u nas zachodziła taka właśnie sytuacja, natomiast w świetle powyższej ilustracji nie wydaje się nam możliwe operowanie pojęciem wzrostu obciążenia publicznego jako czegoś ex definitione złego. O tem, czy wzrost obciążenia publicznego jest zły, neutralny, czy też korzystny, decyduje sposób wykorzystania tego wzrostu. W walce z wszelkim wzrostem obciążenia podatkowego tkwi ukryta niewiara w to, że państwo kiedykolwiek potrafi zakumulowane środki zużytkować dobrze, a w każdym razie lepiej niżby to uczynili przedsiębiorcy prywatni.

Interpretując poglądy prof. Krzyżanowskiego w sposób być może dowolny, sądzę, że w jego tezie, iż należy przeciwdziałać wszelkiemu wzrostowi obciążenia podatkowego, zawierają się właściwie dwie tezy: jedna, iż nie należy dopuścić do wzrostu budżetu administracyjnego, druga, iż nadwyżki budżetu państwowego nie powinny być używane na cele inne, niż zwiększenie płynności gospodarki publicznej i prywatnej.

Z pierwszą tezą nie sposób polemizować. Być może, że konieczności państwowe doprowadzą do zwiększenia np. liczby policjantów, czy urzędników skarbowych. Napewno jednak rolą ekonomistów jest przypominanie o tem, jak niebezpieczny z ogólnego punktu widzenia jest taki proces rozrostu budżetu konsumcyjnego — nawet jeśli odcinkowe racje za tem przemawiają. Wyważenie pomiędzy gospodarczymi argumentami contra i pozagospodarczymi argumentami pro zwiększenie wydatków administracyjnych, nie jest rzeczą możliwą dla ekonomisty, a jedynie dla polityka, dla czynnika rządzącego. Pewne jest, że te kraje, w których czynnik rządzący w tem zagadnieniu liczy się poważnie z poglądami ekonomistów, wychodzą na tem dobrze.

Znacznie bardziej sporna jest druga połowa poglądu, która prowadzi do zanegowania wzrostu obciążenia nawet wtedy, gdyby z tego wzrostu obciążenia miały wyniknąć procesy twórcze — chociaż „etatystyczne".

Istnieje szereg funkcyj państwowych, których nie sposób opierać na operacjach kredytowych, sztuczności. Mam na myśli inwestycje o rentowności pośredniej, zwłaszcza te, które dokonywane są kosztem państwa, lub głównie kosztem państwa, a nie powiększają majątku państwowego. Jeśli można uważać, że np. sieć dróg, mających przecież tylko pośrednią rentowność, prowadzi do zwiększenia majątku państwowego i tem samem legitymuje pod względem formalnym uciekanie się do operacyj kredytowych, to np. trudno sobie wyobrazić oparcie o cokolwiek innego jak wydatek budżetowy działalności państwa w zakresie komasacji. Tem nie mniej bez wszelkich wątpliwości nakłady na komasację ze strony państwa są jedną z najbardziej niespornych dziedzin działalności państwa, dziedziną gdzie ryzyko fałszywej dyspozycji kapitału jest znikome, a rentowność społeczna wyjątkowo wprost znaczna.

Jeśli zatem w świetle tych praktycznych oporów i trudności, na jakie napotykają prace nad każdorazowym budżetem, nie miałyby się znaleźć środki na ową dziedzinę gospodarczej działalności państwa, która w innej formie jak z budżetu sfinansowana być nie może, to nie widzielibyśmy żadnego grzechu nawet w zwiększeniu obciążeń podatkowych, umotywowanym takim kierunkiem wydatków państwa.

Oczywiście nie znaczy to, ażeby w pierwszej kolejności nie należało rozważyć innych możliwości pokrycia potrzeb budżetowych. I tu dochodzimy do drugiej tezy prof. Krzyżanowskiego, a mianowicie do poglądu, że w roku przyszłym raczej należy oczekiwać zwolnienia tempa wzrostu dochodów Skarbu przy obecnych normach obciążenia.

Wydaje mi się to z dwóch przyczyn niesłuszne. Przede wszystkim wahania koniunkturalne odbijają się na wpływach podatkowych z określonym opóźnieniem. Oczywiśnie opóźnienie to jest mniejsze albo znikome w podatkach pośrednich. Natomiast w podatkach bezpośrednich opóźnienie to może bardzo poważnie wzrosnąć. Weźmy np. pod uwagę, że w danym roku podatek dochodowy wymierzany jest od dochodu, wykazanego za rok ubiegły. Dotyczy to nie tylko akcji wymiarowej. Przy podnoszeniu się z dna kryzysu wzrost przychodu w poszczególnych warsztatach może nie odrazu prowadzić do pełniejszego wywiązywania się z zobowiązań wobec Skarbu. I tak np. drobny rolnik w pierwszej fazie poprawy przede wszystkim zwiększenie wpływów zaczął wykorzystywać dla uzupełnienia najdotkliwszych luk w inwentarzu, maszynach i narzędziach, nawozach sztucznych i t. d. W przemyśle, tam gdzie istnieją równoległe zaległości w podatkach i w płacach robotniczych, prawdopodobnie w pierwszej fazie poprawy — zwłaszcza w obliczu nabrzmiewającej fali strajków — w pierwszym rzędzie ulegną redukcji zaległości w płacach, a potem przyjdzie kolej na Skarb.

Stąd wnoszę, że przy dajmy na to identycznym wzroście dochodu społecznego w przyszłym i bieżącym roku budżetowym bez zwiększania stawek po-

datkowych należałoby oczekiwać silniejszego niż w roku bieżącym wzrostu dochodów podatkowych.

To wydaje mi się pierwszą korektywą do odnośnych tez prof. Krzyżanowskiego. Oczywiście donioślejsze znacznie jest zagadnienie, czy istotnie ex re znacznego dziś stopnia wykorzystania zdolności produkcyjnej przemysłu nie możemy w roku przyszłym oczekiwać równych jak w tym roku postępów produkcji.

Nie chcę w tej chwili wróżyć, czy postęp ten będzie mniejszy czy większy, sądzę jednak, że ów czynnik, na który powołuje się prof. Krzyżanowski, nie może odegrać aż tak znacznej roli. Przede wszystkim te dziedziny, w których produkcja zbliżyła się do granic możliwości produkcyjnych nie są bynajmniej tak liczne. Wydaje mi się, że głównie dotyczy to hutnictwa i cementu. W każdym razie nie dotyczy całego drobnego i średniego przemysłu nieskartelizowanego. Po drugie pojęcie zdolności produkcyjnej jest jak wiemy pojęciem elastycznym. Kilka już razy w życiu spotkałem się z przypadkiem obciążenia maszyn na sto kilkadziesiąt procent ich zdolności teoretycznej. Technikowi oczywiście nasuwa to poważniejsze wątpliwości, nie sądzę jednak, ażeby z punktu widzenia ekonomisty można było w tem widzieć grzech, zwłaszcza w dobie postępu techniki tak szybkiego, że z reguły maszyny starzeją się prędzej niż się zużywają faktycznie. W wielu wypadkach ponadto kwestia wyczerpania możliwości produkcyjnych wiąże się przecież nie ze stanem inwestycyjnym całego danego przedsiębiorstwa, a z niedoinwestowaniem jakiegoś jednego ogniwa w procesie produkcyjnym. W tym wypadku niewielkie inwestycje, rozszerzając owo „gardło" procesów wytwórczych, w niezmiernie krótkim czasie kolosalnie zwiększają możliwości produkcyjne.

Generalizując — zjawisko wyczerpania zdolności produkcyjnej nie jest ani tak powszechne, ani tak z reguły trudne do rozwiązania, byśmy musieli je traktować jako hamulec dalszego rozwoju koniunktury. Zjawisko to jest wyrazem pewnych dysproporcyj w rozwoju poszczególnych dziedzin wytwórczości w stosunku do innych dziedzin, dysproporcyj zaostrzonych jeszcze przez to, że koniunktura kierowana, oparta w znacznej mierze o roboty publiczne, inaczej rozkłada popyt na poszczególne grupy dóbr. Nie sądzę skutkiem tego, aby wolno było nadmiernie generalizować ten problem, zwłaszcza że w szeregu przedsiębiorstw wielkoprzemysłowych, najdotkliwiej odczuwających fakt wyczerpania możliwości produkcyjnych, podjęte zostały, a nawet dokonane w bieżącym roku poważne prace inwestycyjne. To też sądzę, że nie ten czynnik, lecz czynnik ogólnej polityki finansowej będzie regulatorem stopnia przyszłorocznego ożywienia, — oczywiście w zależności od wahań koniunktury światowej.

I tu dochodzę do ostatniego problemu, poruszonego przez prof. Krzyżanowskiego, do sposobu użytkowania ewentualnych nadwyżek w przyszłorocznych dochodach. Czy rzeczywiście jest już dziś czas na tworzenie rezerw, czy rzeczywiście wolno już zaniechać drenażu t. zw. sztywnego rynku? Jest to zagadnienie zbyt szerokie, ażeby je można było omówić w tych ramach, w których stanowi ono nawiasowy właściwie problem. To też ograniczę się do zaznaczenia tylko odmiennego punktu widzenia.

Zaniechaniu drenażu tak zwanego sztywnego rynku sprzeciwiają się w Polsce dwa momenty: po pierwsze fakt opóźnienia Polski w zakresie podstawowych inwestycyj o rentowności pośredniej (drogi, kanały, melioracje), opóźnienia bodaj że bardziej nawet dotkliwego i jaskrawego, niż opóźnienie w inwestycyjnym uzbrojeniu przemysłu.

Olbrzymia część Polski nie przeszła w ciągu XIX wieku tego okresu, który kraje Europy Zachodniej mają za sobą. Ekonomiści szkoły liberalnej niezmiernie często i słusznie akcentują, że nie przebyliśmy w sposób normalny czy klasyczny fazy przedsiębiorczości kapitalistycznej. Ale przecież należy sobie wyraźnie powiedzieć, że nie przebyliśmy również fazy normalnej działalności etatystycznej w zakresie wspomnianego wyżej podstawowego urządzenia terenu gospodarczego, terenu, na którym miałaby się rozwijać, wszystko jedno czy kapitalistyczna czy etatystyczna przedsiębiorczość.

Po drugie istnieją poważne podstawy do obaw, że wycofanie się państwa z drenowania rynku sztywnego wywarłoby bardzo silny doraźny wpływ deflacyjny. W największym uproszczeniu obawa ta wynika stąd, że na skutek nienormalnego przebiegu procesów likwidacyjnych w okresie kryzysu zdolność kredytowa przedsiębiorstw prywatnych, przede wszystkim ich formalna, bilansowa zdolność kredytowa, stoi poniżej płynności rynku. Wyraża się to np. w tem że bankowość prywatna skarży się nie na brak możliwości redyskontowych, czy też na słaby dopływ lokat, lecz raczej na brak dobrego materiału wekslowego i innego.

Jeśli chodzi o drugą tezę, o tworzenie rezerw, to jest to środek który poprzez zwolnienie obiegu zawsze, z reguły, prowadzi do osłabienia tempa rozwoju koniunkturalnego. To też sądzę, że do gromadzenia rezerw przystąpić należy dopiero wtedy, kiedy licząc się z bliskością nowej fali kryzysowej, pragnęłoby się rozwój koniunkturalny przyhamować, zapobiec inwestycjom, które wobec bliskości kryzysu już się nie będą rentowały, złagodzić przejście od prosperity do deprseji. Czy moment taki już nadszedł, jest kwestią osobnej dyskusji, której zadaniem byłoby wyjaśnić: 1) czy bliskie jest załamanie koniunktury w skali światowej, 2) czy pomimo ewentualnego załamania koniunktury na świecie mamy szanse kontynuowania przez czas jakiś ożywienia w kraju.

Reasumując te niestety nieco ułamkowe wywody, sądzę, że niesłuszne jest sprowadzanie zagadnienia przyszłego rozwoju koniunktury na płaszczyznę wyłącznie tylko sprawy odciążenia podatkowego. Przeciwnie — punkt ciężkości leży dziś — jak i dawniej — w klasycznym problemie polityki banku emisyjnego, w rozwijaniu bądź hamowaniu ekspansji kredytowej. Problem obciążenia podatkowego jest w porównaniu z tem zagadnieniem problemem wtórnym, co oczywiście nie oznacza aby można było sobie lekkomyślnie poczynać w tej dziedzinie. Zaspokojenia narastających bez wątpienia potrzeb państwa należy szukać przede wszystkim na innej drodze, na drodze ożywienia życia gospodarczego poprzez właściwą po-

litykę kredytową, poprzez możliwą kompresję wydatków konsumcyjnych na rzecz produkcyjnych, poprzez przerzucanie na operacje kredytowe tych wszystkich poczynań inwestycyjnych, które w tej formie sfinansowane być mogą. Tylko w ostateczności, tylko dla celów produkcyjnych i tylko w wypadku stwierdzenia, że budżet konsumcyjny jest zbyt opancerzony, by oszczędności w tym dziale mogły dać cokolwiek dla zwiększenia wydatków produkcyjnych, można byłoby sięgać po ewentualną rewizję obciążenia podatkowego. Sądzę zresztą, że jest to teoretyczna alternatywa, gdyż dający się przewidywać wzrost dochodów skarbowych z jednej strony, z drugiej zaś — możliwości rozbudowy operacyj kredytowych, rosnące siłą rzeczy w warunkach postępującej poprawy, powinny uchronić nas od tej zawsze przykrej, choć nie zawsze zgubnej ewentualności, jaką byłaby podwyżka podatków.

STANISŁAW OZIMA

WIES SIĘ RUSZA

Społeczne ujęcie zagadnień wiejskich, w szczególności spraw gospodarczych stanowi konieczny warunek ustania negatywnych nastrojów wsi.

Niewątpliwa poprawa gospodarcza, powszechnie podkreślana i często ze słusznym zadowoleniem omawiana, staje się zasadniczym leite motivem publicystyki gospodarczej ostatnich miesięcy. Ponadto jest ona dominującą wytyczną działania w zakresie posunięć gospodarczych.

Tak radośnie witanej prosperity równocześnie towarzyszą coraz częstsze objawy ruchów masowych w postaci strajków zwyczajnych, strajków okupacyjnych, a również niestety rozruchów o szerokim zasięgu nieraz krwawych, którym opinia nadaje miano wszystko i nic nie wyjaśniające — politycznych.

Przenikliwi badacze zjawisk socjalnych, myśliciele teoretycy widzą prawdopodobnie potwierdzenie swych wniosków o zachodzącej równorzędności poprawy gospodarczej z ożywieniem politycznym mas. Stara prawda — poprawa gospodarcza sprzyja ożywieniu ruchu politycznego. Nic więc nowego się nie dzieje, nie ma przyczyn do wzruszeń. Czy w rzeczywistości jednak uspakajające są te twierdzenia o prawidłowości zjawiska?

Usprawiedliwianie ruchów masowych, dążeniem do udziału w życiu politycznym nie zdaje się wyjaśnieniem wystarczającym, a w każdym razie jest niekompletne. Udział w życiu politycznym może być celem samym w sobie tylko dla jednostek. Dla mas stanowi on jedynie środek osiągnięć dalszych. Jeżeli więc przyjęlibyśmy tezę politycznego charakteru obecnych ruchów, możemy to jedynie traktować jako wyjaśnienie środka działania co nie powstrzymuje od konieczności ustalenia jego celu.

Nie możemy więc poprzestać na syntetycznej definicji ożywienia politycznego mas, towarzyszącego poprawie gospodarczej. Należy gruntownie zbadać jego przyczyny i cel działania. A warto je zbadać, stanęliśmy bowiem przed novum w naszym życiu politycznym. Przywykliśmy już do strajków, oswoiliśmy się z nimi, znamy kryteria i oceny ich rozpiętości i znamy metody ich rozwiązywania. Obecnie jednak mamy do czynienia ze zjawiskiem dotąd niespotykanym. Zelektryzowani jesteśmy, a bodaj czy częściowo nie sparaliżowani mentalnie faktem: „wieś się rusza".

Rozumowanie, że na skutek poprawy gospodarczej ustały gospodarcze przyczyny, a więc pozostaje tylko jednak przyczyna polityczna wydaje się zbyt symplicystyczne. Zagadnienie takich, czy innych przegrupowań politycznych wsi, sprawa walki o wpływy w przedstawicielstwach zbiorowych, z punktu widzenia grup stanowych wiejskich, jak np. utworzenie jednolitego frontu chłopskiego, lub utworzenie zbiorowej reprezentacji ogólno rolniczej, względnie wciągnięcie średniej własności włościańskiej w orbitę wpływów ziemiańskich, nie stanowi istoty zagadnienia, gdyż leży raczej w zakresie metodyki działania. Czy motywem działania ruchów wsi jest opozycjonizm polityczny, jak chcą jedni, czy ruch socjalno-klasowy — jak twierdzą drudzy, czy działanie czynników zewnętrznych, w każdym wypadku niezależnie od motywów, nie zaprzeczonym pozostanie *masowy* charakter zjawiska o wybitnych, a więc z dawna nagromadzonych, cechach *emocjonalnych,* który objawia się z nadspodziewaną siłą potencjalną. Emocjonalny ten charakter jest tem bardziej godny podkreślenia, że terytorialne rozsianie wsi nie sprzyja rozwojowi emocyj zbiorowych. Na tej bierności zbiorowego działania wsi niejednokrotnie opierano się w metodzie postępowania i w ocenie zjawisk wiejskich. Wypadki ostatnie wskazują raczej na to, aby nie przeceniać bierności wsi, jakkolwiek terytorialne rozsianie ludności wiejskiej niewątpliwie stanowi znaczną przyczynę dla której ludność wiejska odgrywa tak niewspółmiernie małą rolę w życiu zbiorowym w porównaniu do jej liczebnego znaczenia.

Masowy i emocjonalny ruch wiejski objawił się w postaci *negatywnej* w stosunku do panującej rzeczywistości.

Jeżeli będziemy traktowali ostatnie wydarzenia jako sprawdzian powszechnego nastroju wsi, a sądzimy że wolno nam, bez błędu, jako taki go traktować, to tem bardziej konieczne się staje zbadanie przyczyn tego negatywizmu, niezależnie od różnicy poglądów, w stosunku do kogo jest on skierowany.

Szerokie masy wiejskie stykają się z czynnikiem życia zbiorowego zaledwie na nielicznych odcinkach. Służba wojskowa, podatek i oświata — oto styki

główne. Z opieki społecznej, urządzeń użyteczności publicznej ludność wiejska korzysta w znikomym stopniu, a w każdym razie niewspółmiernie mniej od miasta, na skutek tego stosunek ludności wiejskiej do zbiorowości opiera się raczej na jednostronnych świadczeniach jednostki na rzecz tej zbiorowości.

Ograniczając się do zagadnień gospodarczych wysuwa się jako masowy punkt styczny wsi z czynnikiem publicznym zagadnienie podatkowe. Do niego dochodzi, lecz w węższym zakresie stosunek kredytowy, który w naszych warunkach, wobec scentralizowanej dyspozycji rynku pieniężnego, stanowi sui generis czynnik przejściowego podziału dochodu społecznego.

Sprawa podziału własności, która jeszcze lat kilkanaście temu była programowym działaniem mas wiejskich, nie posiada już dziś tak znacznego potencjału emocjonalnego, gdyż w powszechnym mniemaniu jest to zagadnienie w zasadzie przesądzone po linii interesów mas, a wykonanie jego ostateczne jest tylko sprawą czasu. Nie może zaś ono stać się podłożem negatywizmu wówczas, gdy weszło w okres bezpośredniej realizacji.

Powracając przeto do poprzednio podanych dwóch zasadniczych kontaktów gospodarczych wsi ze zbiorowością: podatku i kredytu, zastanawiające się staje na pierwszy rzut oka dlaczego negatywizm, jeżeli jego przyczyn szukamy na gruncie gospodarczym, wzrasta i objawia się właśnie w okresie poprawy gospodarczej. Wyjaśnienie znajdziemy w społecznej analizie poprawy gospodarczej w odniesieniu do wsi. Nie daje się ona zaprzeczyć w zakresie wzrostu cen płodów rolnych. Natomiast dla ogromnego odłamu bezrolnej ludności wiejskiej, względnie małorolnej produkującej tylko na użytek własny, niewiele zmieniło się na korzyść. Płace nie wzrosły, bezrobocie wiejskie nie uległo zmniejszeniu. Wobec natomiast znacznego wzrostu cen środków żywności, wielki odłam ludności wiejskiej nie mogący wykorzystać wzrostu cen płodów rolnych przez zbycie ich nadwyżki ponad konsumcję własną, znalazł się nawet w warunkach gorszych, niż w okresie niskich cen.

Równocześnie natomiast z tą przejaskrawioną i zgeneralizowaną poprawą gospodarczą wsi nastąpił zasadniczy zwrot w zakresie polityki fiskalnej i kredytowej. Śruba podatkowa zaczęła działać z całą siłą, egzekwując bezwzględnie należności bieżące i zaległe. Wierzyciel rozpoczął taktykę ściągania należności w granicach dopuszczonych prawem oddłużeniowo-rolnym, a nawet często, wykorzystując nieświadomość rolnika, z przekroczeniem jego ustawowej ochrony.

Jakby pod magicznym wpływem poprawy dąży się do przywrócenia metod klasycznego liberalizmu kapitalistycznego. Cały, zresztą skromny dorobek społecznego ujmowania zagadnień gospodarczych w odniesieniu do wsi, miałby być odłożony do lamusa wobec ustania kryzysu.

W świetle tych aspołecznych nastawień w poczynaniach gospodarczych w zakresie podatkowym i kredytowym, których ciężar już wieś zaczyna, pomimo poprawy gospodarczej, nadmiernie na swych barkach odczuwać, narastają nastroje negatywne wsi.

W zakresie zagadnień podatkowych niespołeczne ich traktowanie przejawia się najjaskrawiej w metodzie egzekucyjnej, która kieruje się wyłącznie zasadami fiskalizmu. Nadmierny fiskalizm jest również krótkowzrocznym działaniem z punktu widzenia gospodarczego. Przeprowadzenie egzekucji do narzędzia pracy, pomimo istniejących w tym względzie częściowych zakazów ustawowych, względnie przeprowadzanie tej egzekucji w cenie niewspółmiernie niższej od jej rzeczywistej wartości obiegowej, dla ułatwienia sobie możliwości sprzedaży, rujnuje warsztat, zubaża więc dorobek gospodarczy, a z punktu widzenia fiskalnego jest szkodliwy, gdyż zmniejsza ilość podatników. Egzekwowanie należności publicznej w sumie 18 zł. przez zlicytowanie krowy w cenie 45 zł., należącej do rodziny posiadającej jeden mórg gruntu i obarczonej 6-giem dzieci jest nietylko działaniem antyspołecznym, lecz i antygospodarczym, gdyż utrzymanie tych 6-ga dzieci po egzekucji musi w tej lub innej formie stać się ciężarem zbiorowości.

Podnoszenie tego zagadnienia, uwypuklanie jaskrawości ofiar społecznych fiskalizmu nie ma na celu bronienia tezy rozszerzenia zasięgu obywateli nieobciążonych podatkiem, a jedynie dąży do podkreślenia, że uzyskiwanie wpływów podatkowych drogą powiększania ilości obywateli żyjących w tej lub innej formie kosztem zbiorowości, jest nietylko czynnością antyspołeczną, lecz i gospodarczo nieuzasadnioną.

W zakresie zagadnień kredytowych, które w odniesieniu do rolnictwa nie są pozostawione swobodnemu działaniu stosunków wierzycielsko-dłużniczych, lecz znaczna ich część regulowana jest przepisami ustawodawstwa oddłużeniowego, charakterystyczne jest, że uregulowane one zostały w tym sensie, iż większa własność między innymi ma daleko idącą możliwość oddłużenia się wobec wierzycieli przez zredukowanie ich należności, wówczas, gdy mniejsza własność została pozbawiona tej możliwości odnośnie większości wierzycieli. Daremnie szukalibyśmy uzasadnienia gospodarczego takiego upośledzenia mniejszej własności!

Wierzyciel nie wyłączając aparatu kredytu zorganizowanego hołduje dziś zasadzie rzeczowego zabezpieczenia oraz oceny płatnika z punktu widzenia stanu jego posiadania. Nieraz już ten punkt widzenia został praktycznie zdyskredytowany. Wierzyciele niejednokrotnie dotkliwe już cięgi ponosili i wiele strat odpisać musieli na skutek tej praktyki. Na nic się zdadzą dowody oparte na cyfrowych danych spłacalności kredytów, z których wynika, że nie jest to właściwe kryterium oceny dłużnika. Mniejsza własność w świetle tych danych jest lepszym płatnikiem pomimo mniejszego stanu posiadania. Przez rozdział wypożyczonych sum wśród większej ilości dłużników, wierzyciel zmniejsza ryzyko wynikające z niesumienności dłużnika. Mniejsze wymagania pod względem poziomu życia dają wierzycielowi większą gwarancję spłaty kredytu przez włościanina, który ma mniejsze potrzeby. Niemniej aparat rozdzielczo-kredytowy, za małymi wyjątkami, ulega nadal sugestii zdolności kredytowej w zależności od stanu posiadania. Wobec czego udział włościan w rozdziale kredytów w porównaniu z większą własnością jest

odwrotnie proporcjonalny do ilości gospodarstw i rażąco niewspółmierny do produkcji. Przykładem może służyć akcja kredytów zbożowych, na tle której uwypukla się jaskrawo upośledzenie mniejszej własności. Poszkodowanie mniejszej własności w porównaniu do większej występuje też jaskrawo w zakresie udziału w innych kredytach krótkoterminowych, a w szczególności — długoterminowych amortyzacyjnych.

Jeżeli ponadto weźmiemy pod uwagę, że udział rolnictwa jako całości w kredytach w porównaniu z udziałem innych dziedzin gospodarczych jest niewspółmiernie mały do jego roli gospodarczej, co dobitnie nam obrazuje stosunek ulgowej akcji kredytowej budowlanej w latach 1925 — 37 (dla miast 705 mil. zł. i dla wsi 6 mil. zł.), to uwypuklą się nam miniaturowe korzyści jakie czerpie z kredytu mała własność, której produkcja stanowi już dziś podstawę wyżywienia kraju i aktywności bilansu handlowego dzięki eksportowi płodów rolnych.

Nie zaciemniajmy więc sobie obrazu w poszukiwaniu przyczyn negatywizmu wsi przez ograniczanie diagnozy od formułki ruchu politycznego. Nie dziwmy się, że negatywizm ten wzrasta w okresie poprawy gospodarczej. Jeżeli nawet przybiera on formę polityczną, to przyczyna jego działania leży w poczuciu upośledzenia społecznego i gospodarczego w jakim wieś się znajduje.

Traktowanie zagadnień gospodarczych wsi w oświetleniu społecznym, tak jak się traktuje zagadnienie robotnicze w zakresie polityki płac, bezrobocia, opieki społecznej; przywrócenie należnej roli gospodarczej mas wiejskich w podziale rynku kredytowego; społeczne, a nie urzędniczo - fiskalne nastawienie mentalności organów publiczno - gospodarczych stykających się z masami wiejskiemi, uchylą zagadnienie „wieś się rusza”, a zbliżyć nas mogą do sielankowego bytu „wsi spokojna, wsi wesoła”.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ATAKI NA KONIUNKTURĘ

Zwyżka płac jest takim samym niebezpieczeństwem dla koniunktury, jak i zwyżka cen.

Obecna koniunktura jest dla Polski tem, czem wygrana na loterii dla osoby prywatnej. Porównanie to nasuwa się nie tyle z tego powodu, że koniunktura przyszła dość niespodziewanie z zewnątrz, lecz głównie dlatego, że różne grupy społeczne zwracają się obecnie do Państwa o zaspokojenie swych żądań, powołując się na dobrą koniunkturę, tak jak różni znajomi i nieznajomi zwracają się do kogoś, kto wygrał na loterii.

Wiadomo, że gdyby taki właściciel szczęśliwego losu zaspokoił wszystkie żądania, to poszedłby z torbami i wiadomo również, że wszyscy, którym on odmówi potępią go zgodnie, pełni szlachetnego oburzenia, jako wstrętnego skąpca i egoistę. Ten sam los spotyka również i Państwo.

Na koniunkturze wszyscy chcą skorzystać. I słusznie. Bo właśnie chodzi o to, żeby skorzystali wszyscy możliwie równomiernie. Jednak każdy pamięta tylko o sobie, wykazując równocześnie z wielką siłą przekonania, że zaspokojenie jego żądań leży w interesie całości.

Na początku b. r. ujawniła się tendencja do gwałtownego wzrostu cen. Państwo przeciwstawiło się tej tendencji wychodząc ze słusznego założenia, że zbyt szybki wzrost przyśpiesza koniec zwyżkowej koniunktury. Szeroka opinia publiczna była pod tym względem jednomyślna z Rządem, wydaje się jednak że bardziej z przesłanek subjektywnych niż objektywnych. Działała tu raczej osławiona antykapitalistyczna mentalność społeczeństwa polskiego, niż jakie kolwiek racje ogólno - ekonomiczne.

Sfery gospodarcze chciały *nadmiernie* zdyskontować koniunkturę na swoją korzyść. Uważam za słuszne, że do tego nie dopuszczono, przeciwstawiając się nadmiernej zwyżce cen, ale również uważam za słuszne i celowe, że pewna zwyżka cen nastąpiła.

Ostatnio jesteśmy świadkami stawiania i realizowania żądań podwyżki płac, zarówno robotników, jak i funkcjonariuszy publicznych. Bądźmy objektywni: jest to atak na koniunkturę z drugiej strony.

Argumenty objektywne na rzecz tych postulatów to zwyżka cen artykułów rolnych i kosztów utrzymania, wzrost obrotów i zysków w przedsiębiorstwach, jeśli chodzi o odcinek prywatno - gospodarczy oraz wzrost wpływów budżetowych, jeśli chodzi o odcinek państwowy. Mamy zatem i uzasadnienie postulatu i wskazanie pokrycia. Zupełnie zgodnie z regulaminem sejmowym.

Równocześnie z tem prof. Adam Krzyżanowski wysunął potrzebę odciążenia podatkowego, co zostało oczywiście zaraz podchwycone przez prasę, reprezentującą interesy sfer gospodarczych. Ten postulat godzi bezpośrednio w budżet Państwa, które ma częściowo przynajmniej zrezygnować z tych korzyści, jakie mu daje zwyżkowa koniunktura, na rzecz właścicieli warsztatów produkcji.

Tak się przedstawia sytuacja w zakresie zgłoszonych projektów podziału wygranej na wszechświatowej loterii koniunkturalnej, między grupę *mających pracę* pracowników najemnych prywatnych i państwowych, tak zwany kapitał, oraz Państwo. Nie za-

biera narazie głosu wieś, bo o jej udziale zadecydowała siła wyższa w postaci nieurodzaju, oraz bezrobotni, którzy nie mają żadnego prawnego tytułu do udziału w dochodzie społecznym i żadnego zorganizowanego sposobu wyrażania swych postulatów.

Zrozumiałą jest rzeczą gdy np. zwolennicy zniesienia specjalnego podatku od uposażeń są równocześnie zwolennikami podwyższenia podatków. Tak samo logiczny jest postulat odciążenia podatkowego życia gospodarczego z pozostawieniem status quo w dziedzinie uposażeń urzędniczych. Ale jak sobie wyobraża sytuację budżetu państwowego pewne pismo, które chce równocześnie obniżyć podatki obciążające życie gospodarcze i skasować specjalny podatek od uposażeń (170 mil. zł) — to tego nie rozumiem. Ale to mimochodem. Przejdźmy do bardziej rzeczowych rozważań.

Nie wolno do żadnych postulatów poszczególnych grup społecznych ustosunkowywać się w oderwaniu od celów zbiorowych, do których się dąży. Określmy ten cel w chwili bieżącej jako wykorzystanie koniunktury dla podniesienia naszego ogólnego poziomu gospodarczego. Do tego celu jest potrzebna przede wszystkim kapitalizacja i to rzeczowa, to znaczy wszelkiego rodzaju inwestycje. Postulaty prof. Krzyżanowskiego uwzględniają ten cel, nie uwzględniają jednak pewnego faktu dzisiejszej rzeczywistości, mianowicie roli Państwa w życiu gospodarczym, między innymi i w kapitalizacji. Odciążenie podatkowe będzie sprzyjało kapitalizacji głównie w sferze prywatnej gospodarki. Nie twierdzę, że jest to niepotrzebne. Wprost przeciwnie. Lecz twierdzę, że rezultaty odciążenia podatkowego były by jedynie odcinkowe. Pozatem nigdy nie wiemy czy i w jakim stopniu kapitalizujące się w formie pieniężnej zyski przedsiębiorców przetworzą się na inwestycje wytwórcze. Oczywiście polityka gospodarcza może oddziaływać odpowiednio na inicjatywę prywatną, tem nie mniej wynik jest zawsze niewiadomy.

Kapitalizacja państwowa ma tę zaletę, że może pod kontrolą publiczną przybierać natychmiast formę rzeczową idąc ponadto w tym kierunku, jaki jest dyktowany potrzebami życia zbiorowego. Nigdy się nie dam przekonać, że podnoszenie np. naszego potencjału wojenno-gospodarczego da się realizować lepiej i, co ważniejsze, *szybciej* w oparciu o kapitalizację prywatną. Dla tego sądzę, że odciążenie podatkowe miało by z pewnością dodatni wpływ choć w pewnym sensie jednostronny na przebieg koniunktury, ale nie decydowało by samo przez się o problemie wykorzystania koniunktury.

Inna sprawa ze zwyżką płac i zniesieniem podatku specjalnego od uposażeń. Umotywować tych postulatów dobrem powszechnem wogóle nie można i wszelkie używane w tym celu argumenty są mocno „naciągane". Bo nie jest żadnym argumentem, że podniesienie stopy życiowej szerokich mas urzędniczych jest równoznaczne z dobrem powszechnym. *Ale podnoszenie stopy życiowej ludności realizuje się tylko w jeden jedyny sposób: zwiększeniem produkcji dóbr i usług.*

Dzisiaj wskaźnik produkcji przemysłowej wyniósł w stosunku do 1928 roku 86, w rolnictwie jest nieurodzaj. Wskaźnik płac realnych urzędników państwowych wynosi 103, niższych funkcjonariuszy 112 (lipiec) robotników przemysłowych 126. Co to znaczy? *Znaczy, że wszelkiego rodzaju pracownicy najemni mogą dziś nabywać większą ilość dóbr z mniejszej ogólnej ilości dóbr.*

Jeśli wzrost płac następuje w warunkach rosnących cen i *rosnącej produkcji* to jest dobre, bo w ten sposób utrzymuje się równowaga między produkcją i konsumcją; ale nasza produkcja przemysłowa rośnie bardzo powoli. Jeśli dziś nastąpi duży wzrost płac, czyli siły nabywczej warstwy pracowniczej, to nie zdaje się, że by podaż nabywanych przez tę warstwę towarów mogła wzrosnąć — chyba że drogą importu. A gdy podaż nie wzrośnie odpowiednio do nominalnej siły nabywczej to wówczas *musi* nastąpić wzrost cen, i „zdobycze" klasy pracującej zostaną obrócone wniwecz.

Zwyżka cen oczywiście zagraża walucie i eksportowi. Ale nie jest to jeszcze konsekwencja najgroźniejsza. Ponieważ charakter zapotrzebowania warstwy pracowniczej jest konsumcyjny, to zwyżka płac spowoduje przesunięcie wytwórczości w kierunku dóbr konsumcyjnych. Wskaźnik produkcji dóbr wytwórczych w Polsce dopiero od kwietnia wyprzedził wskaźnik produkcji dóbr konsumcyjnych, podczas gdy w Zachodniej Europie ten stan rzeczy istnieje od początku poprawy koniunkturalnej. Szybszy wzrost produkcji dóbr wytwórczych nie konsumcyjnych wogóle decyduje o rozwoju gospodarczym kraju, więc zahamowanie produkcji dóbr wytwórczych uważał bym jeśli nie odrazu za klęskę, to za zapowiedź klęski.

Wydaje się, iż wszyscy przeceniamy cudze możliwości. Przemysłowcy przeceniają zdolność konsumentów do płacenia wyższych cen, robotnicy przeceniają przedsiębiorców do płacenia wyższych zarobków, podatnicy — zdolność Skarbu Państwa do obniżania podatków, Skarb Państwa — zdolność podatników do płacenia podatków. Przede wszystkim zaś niezrozumiały jest wszelki apetyt na nikłe rezultaty koniunktury. Owszem wygraliśmy na loterii, ale bardzo mało, niemal iż tylko stawkę. Niema celu zbyt zawzięcie walczyć o podział tej wygranej, bo każdemu przypadnie zbyt mało. Lepiej możliwie w całości przeznaczyć je na jakiś cel zbiorowy, to wówczas będzie przynajmniej wyraźny efekt.

Na zakończenie chciał bym jeszcze poświęcić parę uwag artykułowi „Kuriera Porannego" z dnia 18.IX b. r. p. t. „Kto ma dźwigać brzemię równowagi budżetowej".

Autor tego artykułu z wielkim uczuciem pisał o nędznie opłacanych rzeszach pracowników państwowych, o ich samozaparciu i heroizmie oraz o sprawiedliwości społecznej wobec urzędników państwowych.

Strasznie w tem jest dużo przesady. Owszem urzędnicy z pełnym zrozumieniem odnieśli się do obciążenia ich podatkiem specjalnym, co stwierdzam z tem większą satysfakcją, że sam jestem urzędnikiem. Ale głośne słowa o heroizmie i samozaparciu wywołują niesmak. Można by jeszcze takich określeń używać gdy by to była dobrowolna ofiara; ale nie była. To samo z tą nędzą. Bieda owszem jest, lecz o nędzy mowy niema. Nędzę miał chłop w czasie kryzysu, nę-

dzę ma bezrobotny, ale nigdy urzędnik, nawet najniższej kategorii, wykluczając oczywiście jakieś wyjątkowe wypadki nieszczęścia, choroby itp. W ogóle autor poprostu niema pojęcia o tem, co to jest prawdziwa nędza.

Prawda oczywista, że stopa życiowa funkcjonariuszy publicznych w Polsce nie jest wysoka, jest jednak wystarczająca, mierząc ją ogólną skalą zamożności naszego kraju. Pozatem wiadomo, że w czasie kryzysu funkcjonariusze publiczni wybitnie zyskali. Zmienną rzeczy koleją „dźwigają dziś brzemię równowagi budżetowej". Przerzucenie jednak tego brzemienia na tych, którzy są nabywcami dóbr wytwórczych, podkopywało by podstawy naszego rozwoju gospodarczego na dłuższą metę, nie mówiąc już o problemie równowagi budżetowej.

Jedyny słuszny argument tego artykułu to kwestia samopoczucia urzędników w momencie ogólnego wzrastania dochodów innych warstw. Momentów psychologicznych nie należy lekceważyć. Jeżeli wzrost płac robotników przemysłowych będzie trwał dalej, to jakieś koncesje na rzecz urzędników będą konieczne z zastrzeżeniem nienaruszania równowagi budżetowej i *nie podwyższania podatków*.

Jasne jest, że przy uwzględnieniu tych dwuch zastrzeżeń całkowite skasowanie podatku specjalnego, ściślej całkowite zrzeczenie się tych 170 mil. zł w budżecie jest nie możliwe. Sądzę, że sprawa powinna by być załatwiona w drodze formalnego skasowania podatku specjalnego, rewizji obecnie obowiązującej ustawy uposażeniowej w kierunku zmniejszenia rozpiętości między najniższą i najwyższą normą uposażenia, przywrócenia normalnego podatku dochodowego od uposażeń i przywrócenie dodatków rodzinnych dla niższych ketagorji.

Przywrócenie podatku dochodowego jest potrzebne, bo zwolnienie urzędników od płacenia podatku robi „złą krew" w opinii publicznej. Dodatki rodzinne dla niższych kategorji wydają mi się niezbędne zarówno ze stanowiska sprawiedliwości społecznej, jak i polityki populacyjnej.

Kończąc swój artykuł zreasumował bym go w ten sposób: skoro koniunktura rozwija się przy takich proporcjach w podziale dochodu społecznego, jakie ustaliły się pod koniec 1935 i początek 1936 roku, to sądzić należy, iż są to właśnie proporcje odpowiednie i można obawiać się, że naruszenie ich, a zwłaszcza podziału między konsumcję i produkcję, może zahamować koniunkturę. Jeśli za tem nastąpi zwyżka płac robotniczych, to musi również nastąpić pewna zwyżka płac funkcjonariuszy publicznych, a wślad za tem zwyżka cen dóbr konsumcyjnych, dla przywrócenia równowagi między popytem i podażą.

Być może, że zasilone w ten sposób gałęzie wytwórczości dóbr konsumcyjnych zwiększą ze swej strony zapotrzebowanie na dobra inwestycyjne i w krwiobiegu gospodarczym nie nastąpią żadne skrzepy. Potrzeba w tym celu dużo uwagi i rozwagi, i co kolwiek szczęścia.

UWAGI

ZBIORY

Rok bieżący jest z kolei drugim rokiem, w którym szeroką opinię zaprząta zagadnienie wielkości zbiorów. W okresie kryzysu, głodowej sprzedaży, kwestia bliższego ustalania rozmiaru nadwyżek zbożowych mogła być interesująca tylko z jednego punktu widzenia, z punktu widzenia eksportu i związanych z nim kosztów premiowania. Rzecz prosta że cena nadwyżki musiała być wtedy problemem doniosłym dla Skarbu, dla resortów odpowiedzialnych za politykę handlową, natomiast szerszy ogół zaspakajał się doskonale prostym ujęciem, że zboża jest więcej niż go potrafimy skonsumować w kraju, a w niektórych okresach więcej nawet, niż zdołamy w danym okresie ulokować w kraju i zagranicą.

Zanik podaży głodowej, wzrost konsumcji miejskiej i wiejskiej, zbiegły się z serią klęsk żywiołowych, mniej dotkliwych w roku ubiegłym, dotkliwszych w roku bieżącym. Stąd też zrodziło się zainteresowanie, czy jesteśmy samowystarczalni pod względem zbożowym, czy będziemy mieć jakiekolwiek nadwyżki zbożowe, czy też może będziemy musieli sięgać po import zbóż. Nawiasem mówiąc, pokutuje w Polsce od szeregu lat pogląd, że import zbóż nawet umiarkowany jest synonimem klęski gospodarczej, tak jak gdyby wydatek dewizowy na zboża był w czem kolwiek dotkliwszy niż wydatek dewizowy na jaki kolwiek inny artykuł produkowany w kraju w niedostatecznej ilości.

Pomijając tę naiwną postawę stwierdzić jednak należy, że ewentualny niedobór zbóż, prowadzący do wydatku dewizowego zamiast dochodu dewizowego ze zbóż, dochodu, przekraczającego przecież w ciągu ostatnich trzech lat gospodarczych 100 milionów zł byłby rzeczą wysoce dotkliwą, podobnie jak poważną troską byłaby kwestia nadmiernej zwyżki ceny zboża, spowodowanej niedoborem zarówno z punktu widzenia kosumenta miejskiego, jak i z punktu widzenia rentowności tych działów produkcji rolniczej, dla których zboże jest surowcem. To też zainteresowanie kwestią rozmiarów zbioru i nadwyżki rynkowej zbóż jest w tej chwili zrozumiałe.

Niestety stwierdzić trzeba, że możliwości poważnej i realnej oceny sytuacji na tym odcinku są ograniczone i że te metody obliczenia nadwyżki rynkowej, z którymi spotykamy się najczęściej, muszą być uznane za — mówiąc łagodnie — naiwne. Jeśli chodzi o zbiory, to dysponujemy w tej dziedzinie systematycznie publikowanemi danemi G. U. S. Czy cyfry G. U. S. mogą być uznane za dostateczny obraz sytuacji? — Bez wątpienia nie. — Jest to niewątpliwie najlepszy obraz, jakim możemy w ogóle dysponować, nie znaczy to jednak, ażeby jego skala odchyleń od rzeczywistości nie musiała być dość znaczna. Ogłoszony przed kilkoma miesiącami komunikat G. U. S. słusznie prostował krańcowe mniemania tych, którzy pragnęliby cyfrom G. U. S. odmówić wszelkiej wartości.

Z drugiej jednak strony stwierdzić należy, że nie tylko wstępne szacunki G. U. S., ale i ostateczna ocena zbiorów, oparte są rzecz prosta nie o materiał spisowy, lecz o pewne szacunki dokonywane w terenie. Z chwilą, kiedy mamy do czynienia z procesem szacowania — nieuchronne jest popełnianie w skali masowej, jeśli nie powszechnej, pewnych typowych błędów. Sądzę, że przy wszelkim procesie szacowania ma się skłonność do przeceniania zmian, następujących w dużej skali i niedoceniania zmian, następujących w mniejszej.

W konkretnym przypadku szacunku zbiorów trudno sobie wyobrazić, ażeby szacujący mogli uchwycić dajmy na to 3-procentowy wzrost wydajności w porównaniu z rokiem poprzednim. Bardzo natomiast prawdopodobne jest, że kilkunastoprocentowy wzrost lub spadek wydajności zostanie przeszacowany, a za niemal że pewne uważać należy uznanie 30-o czy 40-o procentowej zniżki zbiorów za obniżenie się wydajności o połowę czy nawet więcej.

Wydaje się wysoce prawdopodobne, że w ciągu lat kryzysowych na szeregu terenów mało zaawansowanych w postępie kultury rolniczej, odbywał się pomimo kryzysu stały, skromny postęp wydajności, nie w pełni uchwycony przez cyfry statystyczne.

Jeślibyśmy przypuścili, że skutki tegorocznej klęski, jako skutki występujące w znacznej skali, są przeszacowane, (nie twierdzę, że to napewno ma miejsce, natomiast jest to w każdym razie możliwe, jeśli nie prawdopodobne), to mogłoby się okazać, że zbiory tegoroczne nie odbiegają od przeciętnej paroletniej, a co najmniej odchylają się od niej mniej, niż to wynika z opublikowanych dotychczas danych.

Oczywiście nie twierdzę, że tak jest, gdyż w każdym razie wiarogodność danych G. U. S. jest większa niż wiarogodność przyjętej przeze mnie hipotezy co do błędów szacunkowych, popełnianych w dwu kierunkach, nie wolno jednak uważać za pewne, że sytuacja w zakresie zbiorów przedstawia się tak ściśle jak ją obrazują cyfry statystyczne. Umiejętność posługiwania się statystyką polega właśnie na tem, ażeby, znając metodę opracowywania danej cyfry, przypisywać jej ten stopień pewności, który z zastosowania takiej, a nie innej metody wynika.

Jeśli chodzi o kwestię nadwyżek rynkowych zbóż, to często spotykamy się z następującym sposobem obliczania: zbiór zeszłoroczny wynosił X, nadwyżka rynkowa zeszłoroczna Y (eksport plus konsumcja wewnętrzna), tegoroczny zbiór mniejszy jest od zeszłorocznego o Z, a więc nadwyżka wynosić będzie Y — Z. Jeśli Z przewyższa eksport ,to dochodzi się do wniosku, że będziemy mieć na rynku niedobór w wysokości różnicy tych wielkości. Pomijamy już to, że w odniesieniu do konsumcji wewnętrznej nie posiadamy żadnych danych o większym stopniu wiarogodności, a jedynie szacunki zawarte w poszczególnych publikacjach — nieraz bardzo między sobą się różniące.

Ważniejsze jest to, że ten sposób rozumowania oparty jest o zupełne zapoznanie istotnego mechanizmu wytwarzania się podaży rynkowej. Można byłoby tak rozumować tylko w wypadku; 1) gdyby zmiany

w zbiorach występowały w tej samej skali we wszystkich rejonach i we wszystkich gospodarstwach w Polsce, 2) gdyby spożycie wsi było pozycją całkowicie sztywną, bez jakich kolwiek procesów wzajemnej zastępowalności poszczególnych artykułów roślinnych, 3) gdyby ruch cen nie oddziaływał nie tylko na spożycie wiejskie (spasanie np.), lecz i na konsumcję miejską.

Oczywiście te wszystkie „gdyby" są na tyle niezgodne z rzeczywistością, że dyskwalifikują całkowicie „metodę" obliczenia. Naiwność tej metody wyraźna jest zresztą, jeśli ją zastosujemy np. do lat 1933/34 i 1934/35, Zbiory czterech zbóż w roku 1934/35 były o 808 tysięcy ton niższe, niż w roku 1933/34.

Gdyby istotnie nadwyżka rynkowa miała wynosić Y — Z to w roku 1934/35 nie powinni byliśmy mieć prawie zupełnie eksportu, skoro konsumpcja wewnętrzna miała pozostać niezmienioną, a eksport czterech zbóż w roku poprzednim — 1933/34 — wynosił 818 tysięcy ton. Tymczasem właśnie w roku 1934/35 eksport nie tylko nie zmalał, ale wzrósł do 986 tysięcy ton w zakresie czterech zbóż.

Wahania tego zespołu czynników, który obok rozmiaru zbiorów decyduje o rozmiarach podaży rynkowej, i skala błędów statystycznych przy ocenie poszczególnych elementów, są przy tem tak znaczne, że dopiero w latach jakiejś wyjątkowej klęski czy wyjątkowego urodzaju, wolno byłoby na podstawie cyfr zbiorów wypowiedzieć kategoryczne wnioski co do rozmiarów nadwyżki. Zresztą i wtedy nawet, nawet w wypadku bardzo dużych wahań zbiorów, należałoby wprowadzić korektywę z tytułu geografii urodzajów. Jest przecież rzeczą jasną, że w okolicach notorycznie deficytowych, w okolicach niedożywiania ludzi i zwierząt gospodarskich, wzrost produkcji zbożowej może nie mieć żadnego wpływu na wzrost podaży, a już napewno spadek zbiorów w takich okolicach nie ma żadnego wpływu na zerową — nawet przy dobrym urodzaju — podaż. Odwrotnie, przyrost produkcji w okręgach nasyconych, aktywnych zbożowo, będzie zwiększał podaż rynkową o całość czy prawie całość uzyskanej nadwyżki. Oczywiście w rozumowaniu tym nadal jeszcze popełniamy świadome uproszczenie, abstrahujemy bowiem od faktu, że pojęcie rynku nadwyżkowego czy deficytowego jest czemś umownym, gdyż poszczególne gospodarstwa wewnątrz danego rejonu mogą się bardzo różnić Dla uzyskania bliższej oceny trzeba byłoby więc wprowadzić przynajmniej korektywę, opartą na znajomości struktury agrarnej danego rejonu itp. itp.

Dla ilustracji, jak dalece trudno jest dojść do jakiegoś cyfrowego szacunku nadwyżki rynkowej zbóż, pozwolę sobie przytoczyć, że byłby możliwy wypadek bardzo jaskrawego spadku produkcji w całej Polsce z wyjątkiem dajmy na to Poznańskiego, Wołynia i Pomorza przy poważnym wzroście produkcji w tych 3-ch okręgach. W tym wypadku zapewne mielibyśmy wzrost podaży rynkowej nawet przy mniejszym lub większym zmniejszeniu się zbiorów całej Polski.

Jakież wnioski wyprowadzić można z tych rozważań? Przede wszystkim należy unikać podobnych ocen nadwyżki zbożowej, opartych o globalne i hipotetyczne cyfry, — a nawet do ocen bardziej precyzyjnych, uwzględniających różnice regionalne, ewentualne wahania konsumcji, wpływ cen itp., należy odnosić się z dostatecznym krytycyzmem. Po drugie zaś im mniej możemy ufać ocenom nadwyżki rynkowej, budowanym na cyfrach zbiorów i konsumcji, tem bardziej powinniśmy korzystać z tego prostego barometru, sytuacji zbożowej, jakim jest ruch cen zboża. Wydaje się, że dopóki ten ruch nie wykazuje jaskrawych wyskoków, dopóty nie wolno nam uważać supozycyj co do niedoboru zbóż w roku bieżącym nie tylko za dowiedzione, ale nawet za dostatecznie uzasadnione.

c. k.

KOORDYNACJA

Państwo współczesne prowadzi i prowadzić musi politykę społeczną. Dzisiejsza polityka społeczna jest obszerną dziedziną, obejmującą szereg różnych działów. Pomijamy tu, dla uproszczenia, związek polityki społecznej z polityką gospodarczą i zasadnicze zagadnienie, czy dziś w ogóle istnieć może odrębnie polityka społeczna i gospodarcza, czy też mówić można o jednej polityce społeczno - gospodarczej państwa.

Jasne jest, że poszczególne działy polityki społecznej jednego i tego samego państwa powinny być wzajemnie skoordynowane, nie powinno być między nimi sprzeczności, co więcej powinny one udzielać sobie, że tak powiem „wzajemnej pomocy". Zastanówmy się teraz, jak się przedstawia nasza „rzeczywista rzeczywistość". Weźmy pod uwagę dla przykładu trzy, podstawowe zresztą, działy polityki społecznej

a) politykę społeczno - ubezpieczeniową,
b) politykę zatrudnienia,
c) politykę parcelacyjną.

Czy te działy są ze sobą skoordynowane? Składka pracodawcy na rzecz ubezpieczeń społecznych (poza pewnymi wyjątkami) jest wymierzana w przybliżeniu proporcjonalnie do sum wypłaconych zarobków. Za tem w kraju, gnębionym przez strukturalne bezrobocie, pracodawca opłaca tak skonstruowaną składkę ubezpieczeniową, że stanowi ona coś w rodzaju podatku celowego od zatrudnienia i płac.

Czy nie należało by raczej (nie zmniejszając zresztą globalnej wysokości obciążeń na rzecz ubezpieczeń społecznych) tak skonstruować opłatę ubezpieczeniową, aby obciążenie poszczególnego pracodawcy nie wzrastało wtedy, gdy powiększa on załogę? Na drobnym stosunkowo odcinku ubezpieczenia brackiego górników w Zagłębiu Dąbrowskim koncepcję taką udało się zrealizować — czy nie można by rozszerzyć tej koncepcji na inne działy gospodarstwa narodowego? Zwłaszcza warto by o tem pomyśleć w zastosowaniu do ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych (funkcjonującego u nas zresztą tylko na terenie województw zachodnich). W ubezpieczeniu tym można by wprowadzić opłatę pracodawcy od hektaru gruntu, przy uwzględnieniu jego jakości.

To samo ubezpieczenie emerytalne robotników rolnych ma konstrukcję finansową, opartą na zasadzie wieczystego trwania, tej samej, na której opiera się ubezpieczenie emerytalne robotników przemysłowych. W konsekwencji pokrycie zobowiązań ubezpieczeniowych w stosunku do obecnego pokolenia ubezpieczo-

nych jest częściowo przerzucone na przyszłe pokolenia ubezpieczonych tj. na wszystkich tych, którzy w przyszłości dowolnie nawet odległej będą na danym terytorium *najemnymi* robotnikami rolnymi. Systematyczny spadek stanu najemnego zatrudnienia w rolnictwie był by przy takiej konstrukcji finansowej naruszeniem równowagi ubezpieczeniowo - technicznej. Reforma rolna — kapitalne zadanie jednego z działów polityki społecznej państwa w tych warunkach grozi zniszczeniem podstawowych rezultatów innego działu polityki społecznej tegoż państwa.

Możliwe jest jednak usunięcie tej sprzeczności, możliwa jest nawet dalej posunięta koordynacja polityki społeczno - ubezpieczeniowej z polityką parcelacyjną, polegającą na tem, że funkcjonowanie ubezpieczenia robotników rolnych mogło by w drodze uruchamiania pewnych automatyzmów powiększać bez stosowania przymusu prawnego szczupły zapas ziemi, przeznaczonej na parcelację.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że wprowadziliśmy w ubezpieczeniu emerytalnym robotników rolnych np. zamiast składek opłaty od użytków rolnych. Można w tym wypadku dopuścić dobrowolną kapitalizację opłat. Skapitalizowaną wartość opłat mógł by pracodawca uiścić w naturze, mianowicie w użytkach rolnych, nadających się na parcelację. Instytucja parcelacyjna, przejmująca te użytki zwróciła by ich równowartość niemal w całości w papierach wartościowych własnej emisji instytucji ubezpieczenia robotników rolnych, która w wypadku niedostatecznej płynności odstępowała by te papiery innym instytucjom społeczno - ubezpieczeniowym. Należy przypuszczać, że pracodawcy dość chętnie starali by się w drodze jednorazowej rezygnacji z bardzo nieznacznej części swych gruntów zwolnić się od stałego obciążenia gotówkowego, posiadającego charakter publiczny, mającego wszystkie przykre strony podatku.

H. Pniewski

PARCELACJA A INWESTYCJE PRZEMYSŁOWE

Chociaż produkcja przemysłowa w wielu gałęziach nie osiągnęła jeszcze poziomu z roku 1928, coraz ostrzej — wbrew szerzonym podczas kryzysu twierdzeniom o nieograniczonej nieomal możliwości produkcyjnej polskiego przemysłu — podkreśla się ze strony sfer przemysłowych ten nad wyraz smutny, a w znacznym stopniu niewątpliwie prawdziwy stan rzeczy, że zdolności produkcyjne wielu gałęzi przemysłu są już bliskie wyczerpania i że bez nowych inwestycyj nie ruszy się dalej, bez względu na koniunkturę światową.

Nic dziwnego, że występująca z taką bezwzględnością potrzeba inwestycyj w polskim przemyśle i związane z nią bezpośrednio zagadnienie, skąd wziąć na te inwestycje środki pieniężne, zwróciły w ostatnich dniach uwagę dwóch dzienników („Polska Zbrojna" z dn. 24 b. m. i „Kurier Poranny" z dn. 28 b. m.) na od dawna niepokojące pytanie, gdzie się podziewają olbrzymie — jak na naszą skalę — kapitały, uzyskiwane w związku z parcelacją przez właścicieli większych gospodarstw rolnych, gdzie giną miliardowe sumy, powstałe „z oszczędności szerokich warstw drobnego i średniego rolnictwa"?

P. Jan Derengowski słusznie przypomina, że „w latach 1919 — 1936 rozparcelowano w Polsce 2.423.000 ha ziemi, tj. do 10% całej powierzchni użytków rolnych". Z drugiej strony — po uwzględnieniu również wylesień i cięć przedterminowych w latach 1919 — 1936 w lasach większej własności — kwota osiągnięta przez właścicieli większych gospodarstw rolnych z parcelacji zostaje w sposób raczej ostrożny oszacowana na trzy miliardy złotych. Tymczasem — jak stwierdzają słusznie oba przytoczone tu artykuły — lokowanie kapitałów osiąganych z parcelacji w przedsiębiorstwach przemysłowych nie ma właściwie miejsca. Marzenia Nienaskiego o osiągnięciu wielkich polskich kapitałów z zagranicy dla rozbudowy polskiego zagłębia węglowego, w dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości nic nie straciły ze swej aktualności. Bo że kapitały te leżą w przeważającej części właśnie w bankach zagranicznych, to nie ulega dla nas wątpliwości. I dlatego należy być wdzięcznym „Depeszy" z dn. 27 września b. r., że z taką otwartością stwierdziła ten fakt, sugerowanie którego uważane było zawsze za doktrynerstwo różnych „radykalnych" ekonomistów. „Depeszy" nikt o radykalizm chyba nie posądzi, kiedy ta obiektywnie stwierdza, że „uzyskane z parcelacji miliardowe kapitały nie zginęły w nieproduktywnych lokatach, ale czekają i długo jeszcze (?!) zapewne będą czekały w zagranicznych bankach lub w krajowych safes'ach i innych pończochach". Na co?

Wiadomo — „na inną, na lepszą politykę gospodarczą w Polsce".

Ponieważ zaś jednocześnie stwierdza się, iż „faktem jest, że nasza arystokracja, nasze ziemiaństwo przed wojną, pomimo posiadania wielkich kapitałów, unikało — z małymi wyjątkami — jak ognia wszelkich lokat przemysłowych", wyjaśniając lojalnie i jakże zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, że „ta ucieczka od lokat przemysłowych pod rządami zaborczymi i od lokat w bankach zaborczych, nie miała nic wspólnego z jakąkolwiek animozją do zaborców, czy z jakimkolwiek politycznym sentymentem" — nasuwa się nieubłagane pytanie, jakąż u diaska ma być ta „inna i lepsza polityka gospodarcza w Polsce", żeby nareszcie ustała ta dziesiątki lat trwająca ucieczka polskiego kapitału z ziemi rodzinnej? Zbyt bowiem tragiczne ma ona dla Polski skutki, abyśmy mogli odnosić się do niej tylko z wyrozumiałością człowieka znającego prawa ekonomiczne, jak to czyni — rzecz prosta — „Depesza".

Przecież przed wojną nie było etatyzmu, przecież przed wojną polski przemysł odrzucał widać niezłe zyski, skoro garnęły się do nas kapitały zagraniczne, do dzisiejszego dnia tkwiące w tak znacznych rozmiarach w polskim przemyśle. A mimo to — „nasze ziemiaństwo nie wierzyło w trwałość i rentowność przedsiębiorstw przemysłowych". Nie wierzyło przed tem, nie wierzy dziś, — skąd pewność, że uwierzy jutro, że znajdzie się w ogóle polityka gospodarcza zdolna wreszcie wszczepić w ziemiaństwo wiarę w „trwałość i rentowność" jego lokat w ojczyźnie.

Sądzimy raczej, że nawyk uciekania z pieniędzmi zagranicę jest w polskim ziemiaństwie zbyt zakorzeniony, aby udało się go przełamać czapką i papką; że w Polsce współczesnej świat pracy nie dopuści nigdy do takich warunków, w których mogłoby polskie ziemiaństwo odetchnąć wreszcie pełną piersią.

I dlatego, godząc się w pełni na stwierdzenie, że „każdy grosz oszczędzany przez szerokie warstwy drobnych rolników, powinien posłużyć do stawiania fundamentów potęgi przemysłowej Polski", uważamy, iż naprawdlę jedyną skuteczną radą na zapobieżenie dalszej ucieczce z kraju tych chłopskich oszczędności jest możliwe rychłe poddanie rewizji całokształtu spraw, związanych z obrotem ziemią w ten sposób, aby miliardowe sumy nie mogły z Polski ani uciekać, ani kryć się tajemnie w kraju.

Zalecenia co do wszczęcia odpowiedniej propagandy wśród ziemiaństwa wydają się nam nierealne, jak nierealną wydaje nam się w Polsce owa „inna polityka gospodarcza" — polityka bezwzględnego rozwielmożnienia się kapitału, do czego nawołuje znowu „Depesza". I w jednym i w drugim wypadku mamy do czynienia — naszym zdaniem — z marzycielami, z tą tylko różnicą, że jeden myśli, jakby wilkowi dodać jeszcze kłów, a drugi — jakby go złych obyczajów oduczyć.

n. r.

DODATNI BILANS HANDLOWY

Zamiast formułować i wypowiadać pewne uwagi i poglądy natury ogólnej autor zamierza tym razem ograniczyć się do skonstruowania pewnego niby — konkretnego przykładu. Chodzi tu o pewien liczbowy przykład kształtowania się bilansu handlowego. Przykład ten będzie całkiem świadomie krańcowo wyschematyzowany, a dla należytego uwydatnienia paradoksalnego nieco faktu obustronnej dodatniości bilansu założenia liczbowe otrzymają nieco karykaturalny charakter.

Weźmy pod uwagę dwa kraje: A oraz B. Zakładamy, że kraje te utrzymują między sobą oraz z innymi krajami stosunki handlowe. Stosunki gospodarcze między krajami A i B oraz innymi gospodarstwami narodowymi nie muszą zresztą ograniczać się do stosunków handlowych. Takie założenie ograniczające było by dla dalszych rozważań zbędne. Obserwujemy obroty towarowe między krajami A i B na przestrzeni roku. Dane, dotyczące tych obrotów posiadamy za każdy kwartał osobno.

Załóżmy teraz, że wywóz z kraju A do kraju B, obliczony w jednostkach pieniężnych kraju eksportującego (t. j. w danym wypadku kraju A) kształtował się w sposób następujący:

kwartał	wartość wywozu
I	110
II	80
III	110
IV	80
Razem	380

Następnie zakładamy, że wywóz z kraju B do kraju A, obliczony w jednostkach pieniężnych kraju eksportującego (tj. w danym wypadku w jednostkach gospodarstwa narodowego B) przedstawiał się jak niżej:

kwartał	wartość wywozu
I	50
II	66
III	50
IV	66
Razem	232

Jeżeli chodzi o wzajemną relację jednostek pieniężnych obu rozważanych krajów, to przyjmujemy (celem uproszczenia obliczeń bilansowych), że zmiany kursów odbywały się skokami kwartalnymi. W obrębie każdego kwartału kurs był stały. Za jednostkę pieniężną kraju A otrzymywano:

w kwartale	poniższą liczbę jednostek B.
I	0,50
II	0,75
III	0,50
IV	0,75

Możemy wyjaśnić (aby uniknąć zarzutu opierania przykładu liczbowego na układzie sprzecznych między sobą założeń), że wahania kursowe nie odbiły się efektywnie na rozmiarze obrotów towarowych między krajami A i B w poszczególnych kwartałach, gdyż na rozmiar ten zbyt silnie wpływały inne czynniki, aby wahania kursowe mogły wywrzeć efektywny wpływ.

Po zakończeniu roku centralne biuro statystyczne kraju A zestawiło bilans handlowy, który oczywiście przedstawiał się następująco:

kwartał	wywóz	wwóz	saldo
I	110	100	+ 10
II	80	88	— 8
III	110	100	+ 10
IV	80	88	— 8
Razem	380	376	+ 4

„Miarodajne czynniki" podały do wiadomości obywateli kraju A rezultaty roczne, podlane dostatecznie triumfalnym „sosem". Czytamy w tym komunikacie, że „energiczne wysiłki naszych... itd., dodatnie saldo nasze z krajem B pozwala optymistycznie patrzeć na przyszłość...". Kilka dni później ukazał się w kraju B komunikat o rocznych wynikach obrotów z krajem A. Gazety kraju A, a mianowicie te nieliczne, które zamieściły w tłomaczeniu komunikat centralnego biura statystycznego kraju B, zostały jednak skonfiskowane.

Zanim przystąpimy do dalszych wyjaśnień i rozważań, będziemy musieli najpierw przeprosić czytelnika za grube niedopatrzenie: Formułując założenia naszego przykładu opuściliśmy jedno tylko wprawdzie, ale za to bardzo istotne. Autor zapomniał poprostu zaznaczyć, że w obu krajach obowiązuje i głęboko jest w dusze ludzkie wrośnięty kult dodatniego salda bilansu handlowego. Chodzi tu o pewną bardzo krańcową formę tego kultu, mianowicie o kult dodatniego salda z każdym z krajów osobno, a nie tylko z całością gospodarstwa światowego.

Jak wyglądał bilans handlowy, sporządzony w kraju B. Ano nietrudno go odtworzyć. Prawdopodobnie niejeden z czytelników już tę śmieszną małą robótkę zdążył wykonać. Na wszelki wypadek podajemy to zabawne „zestawionko" (w jednostkach pieniężnych kraju B).

kwartał	wywóz	wwóz	saldo
I	50	55	— 5
II	66	60	+ 6
III	50	55	— 5
IV	66	60	+ 6
Razem	232	230	+ 2

Jak widać z powyższego kraj B osiągnął również dodatnie saldo w obrotach z krajem A i to równocześnie, właśnie wtedy, gdy kraj A osiągnął dodatnie saldo w obrotach z krajem B. Zgodność interesów obu krajów jest poprostu rozczulająca. Szkoda tylko, że (jeśli abstrahować od kultu dodatniego salda) stwierdzona zgodność jest pozbawiona jakiejkolwiek doniosłości.

Warto jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na dość istotną okoliczność, mianowicie, że w obrębie naszego przykładu nie mamy wcale do czynienia z systematycznym (w sensie tego terminu nadanym przez teoretyków statystyki) spadkiem pieniądza kraju A w stosunku do pieniądza kraju B, ani odwrotnie. Przebieg kursów był poprostu w obrębie obserwowanego roku „wahliwy". Zbyteczne było by rozwodzić się nad tem, że ponieważ w naszych skromnych rozważaniach poruszaliśmy się na gruncie fikcji, mogliśmy abstrahować od nieuniknionych na gruncie t. zw. „rzeczywistej rzeczywistości" (nieścisłości danych statystycznych, które często same (bez oddziaływania innych czynników) mogą wystarczyć do stworzenia pozoru dodatniego albo ujemnego salda bilansu handlowego. Pozory takie stanowią niekiedy dostateczną rację (dla zwolenników wspomnianego kultu) wybuchów radości albo oburzenia.

Omawiany tu paradoks posiada nieco ogólniejsze znaczenie i nie jest wcale w sposób nierozerwalny związany z zagadnieniami bilansu handlowego. Każdemu aktuariuszowi wiadomo, że nadwyżkowa operacja finansowa (lub też operacja pieniężno - towarowa, czy nawet towarowo - towarowa, przeliczona na jednostki pieniężne) po przeliczeniu na inną jednostkę pieniężną (o kursie zmiennym w czasie w stosunku do jednostki pierwotnej) może się stać z nadwyżkowej niedoborową. Analogiczne do wyżej naszkicowanego przykładu paradoksy konstruować można również na gruncie rozważań, dotyczących rentowności procesów gospodarczych. Należycie ogólnie postawione zagadnienie należy do problematyki *mierzenia* zjawisk gospodarczych i społecznych, t. j. do problematyki, której należało by więcej znacznie poświęcić uwagi niż się to zazwyczaj czyni.

H. Pniewski.

TROCHĘ DEMAGOGII

Publicystyka nie posiada niestety tak wyraźnych reguł gry, jak np. football, tenis i inne sporty. Tem nie mniej nie jest trudne ustalenie, co uważamy za niewłaściwe i nielojalne metody dyskusji. O ile jednak w sporcie wyraźnie obowiązuje zasada, że przekroczenie reguł gry przez jedną stronę nie usprawiedliwia podobnych przekroczeń drugiej strony, — o tyle zwyczajowym prawem publicystyki jest niestety zasada „oko za oko", czy mówiąc językiem footbalisty „foul za foul". Nie zamierzamy bynajmniej korzystać z tego zwyczajowego prawa i jeśli w artykuliku niniejszym zamierzamy z całą świadomością wkroczyć na tory wyraźnej demagogii, to jednocześnie prosimy czytelnika, ażeby nie traktował na serio naszych wywodów i widział w nich jedynie demonstrację ad oculos, czego to można byłoby dowieść, gdyby się chciało zapożyczyć metody rozumowania od niektórych oponentów.

Przez kilka lat reforma rolna drzemała, a wraz z nią drzemał i spór na jej temat. Dzisiaj ożywiła się i akcja parcelacyjna i dyskusja o niej. Jak przedstawiają się tezy podstawowe obu stron, uczestniczących w dyskusji?

Zwolennicy obecnej polityki agrarnej twierdzą, że przeludnienie rolnicze jest faktem, narzucającym kierunek naszej polityce gospodarczej w ogólności, a agrarnej w szczególności. Przeludnienie to jest tak znaczne, że nawet przy najszybszym postępie uprzemysłowienia miasta nie zdołają wchłonąć całego nadmiaru rąk dzisiaj na roli zbędnych, wraz z corocznym przyrostem naturalnym. Zwolennicy tego poglądu powołują się przy tem na cyfry przytoczone na jednej z konferencyj prasowych w Ministerstwie Rolnictwa, a wskazujące, że aby sprostać zadaniu wchłonięcia całkowitego przyrostu naturalnego Polski — nawet bez rozładowania dzisiejszego przeludnienia wsi — tempo urbanizacji Polski musiałoby przekroczyć tempo urbanizacji Stanów Zjednoczonych w latach najszybszego rozwoju przemysłowego tego kraju. (W okresie 1880 — 1900 przeciętny roczny przyrost ludności miejskiej Stanów wynosił 5,5% w stosunku do 1880 r., w Polsce dla wchłonięcia przyrostu naturalnego przyrost ludności miejskiej musiałby wynosić rocznie ponad 6% obecnej liczby mieszkańców miast. Ludność miejska w Stanach Zjednoczonych stanowiła w 1880 r. 28% ogółu ludności, w Polsce według ostatniego spisu wynosi 27%).

Skoro wskazane wyżej tempo urbanizacji w Stanach Zjednoczonych osiągnięto w okresie wyjątkowego rozwoju, przy swobodnej cyrkulacji kapitałów i towarów w skali międzynarodowej, przy obfitości bogactw naturalnych i dostarczaniu przez Europę gotowych, na jej koszt wychowanych, rąk do pracy —

przekroczenie tego tempa w Polsce wydaje się zadaniem tak trudnym, iż nie sposób uznać skąd inąd słusznej i niezbędnej tendencji do rozwoju przemysłowego za czynnik wystarczający dla rozwiązania naszych trudności demograficznych.

Skoro tak, to licząc się z istnieniem jeszcze przez czas dłuższy nadmiaru ludności na wsi, uznaje się za zadanie polityki agrarnej stworzenie możliwie wielkiej liczby drobnych samodzielnych gospodarstw rolnych, samowystarczalnych, ale poza samowystarczalność nie wykraczających. W intensyfikacji pracy drobnego gospodarstwa rolnego, w popieraniu kierunków produkcji najbardziej wykorzystujących pracę widzi się kierunek rozwojowy wsi.

Tworzenie gospodarstw wielkochłopskich uznawane jest z tego punktu widzenia za luksus, niedopasowany do naszych warunków demograficznych, zaś zamiary ustawowego zakazu podzielności gospodarstw za iluzję lub przywilej nielicznych do chwili otworzenia dostatecznego odpływu ludności ze wsi do przemysłu. Postępujące rozdrobnienie gospodarstw skłania do położenia nacisku na zespołowe organizowanie ich dla celów zbytu i przetwórstwa.

Zobaczmy z kolei te same poglądy, ale w krzywym zwierciadle przeciwnika. Okaże się wówczas, że zwolennicy parcelacji nie chcą uprzemysłowienia. że nie chcą oni również walczyć z postępującym rozdrobnieniem gospodarstw. Zahamowanie podzielności gospodarstw, utrzymanie przy życiu silniejszych gospodarstw chłopskich, krzyżowałoby bowiem plany polityczne radykałów. Co więcej, insynuuje się, że poprzez rozdrobnienie ziemi ad absurdum zwolennicy reformy rolnej chcą zmusić via facti do kolektywizacji produkcji. Zespołowa organizacja dla celów zbytu i przetwórstwa jest przygrywką do kołhozu. Generalnie biorąc — zwolennicy reformy rolnej rekrutują się z pośród radykalnej inteligencji (chłopi przecież domagają się tworzenia możliwie największych gospodarstw), nie zastanawiają się przecież nad problemem wielkości dochodu społecznego, troskają się jedynie o chimerę sprawiedliwości społecznej, realizowanej na drodze mechanicznego podziału ziemi bez względu na uszczerbek, jaki przyniosłoby to gospodarstwu narodowemu i obronności kraju. Nienawiść klasowa zaślepia zwolenników reformy rolnej tak dalece, że nie spostrzegają oni nawet faktu, że zapas ziemi już pokaźnie się w Polsce zmniejszył.

Czytelnik niniejszego artykuliku, któremu nie są znane wywody „Czasu", „Słowa", „Polityki Gospodarczej" na temat reformy rolnej, nie zechce napewno uwierzyć, ażeby w ten sposób można było prezentować poglądy zwolenników tej reformy. Śmiem jednak twierdzić, że kilkanaście zdań powyższych różni się od wywodów prasy konserwatywnej tylko zagęszczeniem barw, natomiast każdy z epitetów daje się bez trudu na łamach tej prasy odnaleźć.

Odwróćmy krzywe zwierciadło w innym kierunku i spróbujmy w podobny „ścisły" sposób zinterpretować poglądy tej grupy, która od p. Steckiego, poprzez p. Hutten-Czapskiego, sięga po p. Lauterbacha.

Naczelne tezy tej grupy to: 1) energiczne zapobieganie podziałowi gospodarstw aż do ustawowej niepodzielności włącznie, 2) wykorzystanie parcelacji dla tworzenia gospodarstw wielkochłopskich.

Gdyby program taki był lansowany w kraju o innych warunkach gospodarczych i demograficznych, należałoby go sklasyfikować poprostu jako umiarkowany czy prawicowy program agrarny, natomiast w kraju silnie przeludnionym i dysponującym nikłym zapasem ziemi, nadającej się do parcelacji, jest to zakapturzony program wywrotowy.

Im większy będzie obszar gospodarstw tworzonych z parcelacji w warunkach skromnego zapasu ziemi, tem mniejsza będzie rzecz prosta liczba nowotworzonych gospodarstw. Równoczesne zahamowanie podzielności wyrzucać będzie z warsztatów rolnych siły robocze, zbędne na tych warsztatach. Zatem w warunkach polskich dążenie do tworzenia gospodarstw wielkochłopskich i marzenia o ustawowej niepodzielności są równoznaczne z dążeniem do zwiększenia liczby bezrolnych na wsi, do proletaryzacji wsi. Oczywiście nieliczna grupa tych, którzy zostaną dziedzicami niepodzielnymi i tych, którzy zakupią duże działki z parcelacji, będzie chroniona od rozdrobnienia i zubożenia. Reszta natomiast znajdzie się w tem większej nędzy — jaskrawo kontrastującej z położeniem uprzywilejowanych.

Rzecz prosta, że taki stan rzeczy musi prowadzić do powstawania silnych konfliktów socjalnych wewnątrz wsi polskiej, w której na szczęście jeszcze dotychczas nie zarysował się tak wyraźny jak w przedrewolucyjnej Rosji konflikt między „kułakiem" a wiejską biedotą. Realizacja programu grupy pseudo-konserwatywnej musi doprowadzić do wytworzenia tego właśnie konfliktu, na którym — jak wiadomo — partia komunistyczna wybudowała w momencie rewolucji rosyjskiej swe wpływy na wsi. Demokratyczna reforma rolna uchroniłaby nas przed konfliktem, o którym mowa, to też należy uznać za wielce wymowne, że z reformą tą toczona jest tak energiczna walka.

Obok konfliktów między - wiejskich proletaryzacja wsi, spowodowana przez realizację programu pseudo-konserwatywnego, stałaby się punktem wyjścia dla budowania politycznej solidarności bezrolnego elementu wiejskiego ze światem pracy najemnej w miastach, — co znów jest jednym z punktów taktyki komunistycznej.

Gdyby postępy uprzemysłowienia były tak silne ażeby wchłonąć nie tylko przyrost naturalny i obecną nadwyżkę ludności wsi, ale nawet tę dodatkową porcję rąk roboczych, jaka zostanie wyrzucona z gospodarstw wiejskich naskutek niepodzielności, to oczywiście inaczej musielibyśmy oceniać ten program. Ponieważ jednak nadzieje tego rodzaju nie znajdują żadnego uzasadnienia w cyfrach, musimy się liczyć z inną jeszcze konsekwencją takiej polityki agrarnej, jaka lansowana jest przez przeciwników kursu obecnego.

Mianowicie proletaryzacja wsi wzmogłaby jeszcze podaż rąk na rynku pracy, konkurencja bezrolnego elementu wychodzącego ze wsi musiałaby doprowadzić do obniżenia poziomu płac i załamać ustawodawstwo społeczne dziś obowiązujące. Pod tym kątem

można byłoby uważać tendencje wrogów dzisiejszej parcelacji za typowe dążenia „rekinów kapitalistycznych", pragnących rozbudowywać przemysł na podkładzie nędzy robotniczej, przypominającej stosunki z początków XIX wieku. Nasuwa się jednak również inna supozycja bardziej sharmonizowana z tymi wnioskami, które zaznaczyliśmy poprzednio. Oto obniżenie stopy życiowej robotnika naskutek sztucznie podniesionej konkurencji bezrobotnych wiejskich, może mieć również na celu zaostrzenie konfliktu pomiędzy kapitałem a pracą, podniecenie walki klas, zniweczenie tych kompromisów społecznych, które są dorobkiem XX-go wieku. Jest to w zupełnej zgodzie z poglądami tych marksistów, którzy drogą wprowadzenia ustroju socjalistycznego widzą właśnie w doprowadzeniu do samobójstwa kapitalizmu przez rozwój niczem niełagodzonych form przedsiębiorczości kapitalistycznej.

Być może, że czytelnikowi hypoteza, dopatrująca się w konserwatywnym programie agrarnym odblasków tendencyj komunistycznych wyda się zbyt śmiała. Zwracamy jednak uwagę na to, że dyrektywy któregoś tam posiedzenia Międzynarodówki moskiewskiej zalecają europejskim partiom komunistycznym właśnie penetrowanie na takie tereny, na których wpływy ich mogłyby być najlepiej ukryte, najbardziej nie oczekiwane. W niedawnym procesie prasowym słyszeliśmy z ust bardzo poważnych twierdzenie, czy może tylko supozycję, iż chrześcijańska demokracja jest terenem, pozostającym pod wpływami komunistycznymi. Zresztą nie potrzebujemy bynajmniej supenować, iż wybitni działacze konserwatywni są członkami partii komunistycznej. Mogą przecież być nieświadomymi narzędziami w rękach tej partii.

Może jest jeszcze jedno... Czy czytelnika nie zastanowiła ta dziwna solidarność, jaka w sprawach reformy rolnej wiąże nieraz postacie tak skąd inąd odległe od siebie całokształtem poglądów? Czy nie daje to do myślenia, iż mamy tutaj do czynienia z działalnością tajnej organizacji, tej organizacji, której członków jak wiemy odnajduje się w najróżnorodniejszych ugrupowaniach społecznych i politycznych? Czy panowie Stecki, Hutten-Czapski, Lauterbach itd. nie są przypadkiem poprostu masonami? Nie zaprzeczą — będzie to pośrednie potwierdzenie. Zaprzeczą... — będzie to wyraźny dowód. Wiemy przecież od czasu ostatniej sztuki Pawlikowskiej, że masoni zawsze zaprzeczają i że zaprzeczenie takie jest najlepszym dowodem czyjejś należności do masonerii. Co było do dowiedzenia... — jak się to mówi przy udowadnianiu twierdzeń geometrycznych.

Na zakończenie jedna bolesna refleksja. „Stwierdziliśmy" wyżej, że nasi konserwatyści są prawdopodobnie masonami i ofiarami intryg Kominternu. Z drugiej strony dawno już zostało dowiedzione, że zwolennicy reformy rolnej rekrutują się wyłącznie — czy prawie wyłącznie z masonów i również są pod wpływami Kominternu. Zatem cały spór o reformę rolną jest jakąś intrygą masonerii, która pod pozorem walki dwóch różnych obozów, naprawdę podlegających dyspozycji tego samego ośrodka, zmierza do jakichś innych — trudnych do odgadnięcia — celów.

Wcale nie tak trudnych — zastanówmy się chwilę i weźmy pod uwagę jeszcze jeden aksjomat, ten mianowicie, że w obu obozach znajdziemy przecież napewno bądź żydów, bądź żydowskich sympatyków. Tu leży sedno sprawy. Cały spór o reformę rolną, cała akcja za i przeciw ma przecież tylko na celu odciągnięcie uwagi społeczeństwa polskiego od kwestii żydowskiej.

t. k.

Zarząd Klubu Gospodarki Narodowej zawiadamia, iż we wtorek dnia 12 października 1937 r. o godz. 20 w lokalu przy ulicy Nowy Świat 37 m. 15 odbędzie się

DOROCZNE ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE KLUBU.

Porządek obrad:

1. Sprawozdanie Zarządu
2. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej
3. Wybór Władz
4. Wolne wnioski

HENRYK TAUBENFELD

TRANZAKCJE KOMPENSACYJNE

Transakcje kompensacyjne z krajami zamorskimi w obecnych rozmiarach nie są ważkim problemem w handlu zagranicznym. Na razie spełniają one dodatnią rolę w uruchamianiu nowego eksportu na rynki zbytu dotychczas minimalnie wyzyskiwane, oraz stanowią instrument, ułatwiający powstawanie nowych domów handlowych importowo - eksportowych. Dotychczasowe wyniki przemawiają za utrzymaniem systemu kompensacyjnego przy usunięciu jednak jego braków, jakie dotychczasowa praktyka w Polsce i zagranicą wykazuje.

Część naszego obrotu towarowego z krajami zamorskimi odbywa się od kilku lat w ramach transakcji wiązanych, potocznie zwanych kompensacyjnemi.

Poza kontyngentami konwencyjnymi import kawy, herbaty, ziarna kakaowego, korzeni, skór surowych i innych drobniejszych ca 40 towarów może nastąpić jedynie po uprzednio dokonanym przede wszystkim pionierskim eksporcie wartości możliwie wyższej niż przywóz i w zasadzie przeznaczonym do krajów pochodzenia towarów importowanych.

W pierwszej fazie obowiązywały tzw. kwity kompensacyjne. W ciągu zaś ostatnich 18 miesięcy (od 22 lutego 1936 r.) stosowane są specjalne zezwolenia zapewniające importerowi przywóz wymienionych towarów po udokumentowaniu wywozu, wyszczególnionego w tymże zezwoleniu. Od chwili wprowadzenia kontroli obrotu dewizowego importer, korzystający z tego systemu, ma zagwarantowane nie tylko pozwolenia przywozu, ale również i dewizy pochodzące z eksportu kompensacyjnego na pokrycie importu.

Ten system kompensacyjny ma więc obecnie głównie na celu:

1) zapewnienie przywozu szeregu towarów bez przydziału dewiz;

2) wyrównanie bilansu handlowego z krajami zamorskimi przez kompensowanie tego przywozu efektywnym wywozem, zapewniającym częściową nadwyżkę dewiz ponad potrzeby kompensacyjnego importu;

3) stwierzenie eksportu pionierskiego t. zn. wywozu towarów, które w ogóle nie były dotychczas wywożone poza Europę, lub na dany rynek zamorski, a w niektórych wypadkach utrzymanie wywozu na dotychczasowym poziomie, gdy konkurenci zagraniczni pogłębiają dumping w zbycie pewnych towarów na pewnych rynkach, uniemożliwiając eksporterom polskim dalsze kontyngentowanie wywozu;

4) tworzenie domów handlowych importowo-eksportowych, a conajmniej wyzyskanie kapitałów i koneksyj handlowych importerów dla zwiększenia zbytu naszych towarów zagranicą.

Cele te zostały w dużym stopniu osiągnięte.

W okresie ostatnich 18 miesięcy wydano ca 750 zezwoleń kompensacyjnych. Wartość objętego nimi *wywozu* wynosi *ca 64,4 mln. zł*, w tem wywóz efektywnie wykonany i udokumentowany — *27,5 miln. zł*, do wykonania — 22 mln. zł, niewykorzystane zezwolenia (anulowane) — 15 mln. zł. Wartość *przywozu* figurującego w zezwoleniach stanowi — *51 mln. zł* w tem przywóz dokonany — *20 mln. zł* (oprócz skór surowych — 2 mln zł), do wykonania — 16 mln. zł, niewykorzystane pozwolenia (anulowane) — 11 mln. zł, import (za gwarancjami bankowemi) przed dokonaniem eksportu — 2 mln. zł.

W pierwszym okresie działania tego systemu — celem pozyskania najszerszych inicjatyw handlowych oraz zapewnienia dostatecznej ilości towarów importowanych dla potrzeb względnie szerokiej konsumcji — pozwolenia były wydawane bez ograniczenia wartości przywozu i wywozu stąd dość wysoka rozpiętość między wartością określoną w zezwoleniach, a efektywnymi obrotami, które nie przekroczyły na razie ca 40% wartości teoretycznie przyjętej.

Przeszło połowa skompensowanego przywozu przypadła na kawę i herbatę (odpowiednio 8 mln. i 4 mln.), reszta: na skóry surowe — 2 mln., śliwki suszone — 1,7 banany — 1 mln. zł, skóry gemzowe — 1 mln. itp. W ten sposób poza przywozem w ramach kontyngentów kompensacyjnych (stanowiących np. w kawie — 15%, a w herbacie 50% globalnego przywozu) transakcje wiązane umożliwiły pokrycie całej bieżącej konsumcji.

W chwili obecnej ze stanu wydanych pozwoleń i przyjętych zobowiązań na dalsze zezwolenia wynika, że import kawy i herbaty jest zapewniony do października 1938 r. Umożliwia więc to nie tylko pokrycie bieżącego zapotrzebowania, ale też i utrzymanie cen maximalnych w wysokości zł 6,10 za kg kawy i 16 zł za kg herbaty w detalu ustalonych przed paru miesiącami.

Eksport kompensacyjny składał się z towarów nowych jak np. koniczyna czerwona — 1,8 mln. zł, słód — 2,8 mln. zł, chmiel — 1 mln. zł, węgiel — 0,5 mln. zł, szynki — 0,2 mln. zł, szproty — 0,6 mln. zł, biel cynkowa — 1,2 mln. zł, skóry chromowe — 1 mln. zł, tkanina wełniana — 0,3 mln. zł, szale wełniane

— 0,3 mln. zł, tkaniny bawełniane — 0,8 mln. zł, len — 0,6 mln. zł, tkaniny lniane — 1,6 mln. zł, drzewo tarte — 1 mln. zł, wyroby koszykowe — 0,5 mln. zł, papiery — 0,8 mln. zł, bibułka papierosowa — 0,6 mln. zł, wkrętki żelazne — 0,3 mln. zł, cynk — 2,8 mln. zł, blacha cynkowa — 1,7 mln. zł, maszyny włókiennicze — 0,3 mln. zł, samoloty — 0,4 mln. zł itp. (w kolejności pozycji taryfy celnej).

Pod względem kierunku geograficznych wywóz kompensacyjny wyniósł w omawianym półtorarocznym okresie: do Stanów Zjednoczonych A. P. — ca 10 mln. zł, do krajów środkowej i południowej Ameryki też ca 10 mln. zł. W tych krajach wymienione towary stanowiły prawie wyłącznie nowe artykuły zbytu i z powodzeniem wypierały konkurencję zagraniczną.

Z transakcji kompensacyjnych korzystało około 40 domów eksportowo-importowych. W okresie sprawozdawczym domy te wykonały połowę całego skompensowanego eksportu. Z 27 mln. zł dokonanego wywozu 6 mln. zł przypada na Kompanię Handlu Zamorskiego, ca 1 mln. zł na firmę „Aljurgo", 800 tys. na „Amdeltę" i po przeszło 600 tys. zł na firmy Breyvogel i „Emteha".

Pozostały wywóz dokonany był w drodze wiązań między ca 135 eksporterami i ca 150 importerami. Najwięksi eksporterzy: „Blacha Cynkowa", — 1,6 mln. zł, Giesche — Katowice — 1,8 mln. zł, Hanfling Rudnik n/S, — 0,6 mln. zł, Gurewicz, Warszawa — 0,9 mln. zł, Handelsverband für Landwirtschaftliche Erzeugnisse — 0,6 mln. zł, Jankowski, Bielsko — 0,3 mln. zł. Mirkowska Fabryka Papieru — 0,5 mln. zł, Polski Eksport Rolny — 0,9 mln. zł, „Robur", Katowice — 0,3 mln. zł, „Standard", Wilno — 0,5 mln. zł, Szpiro i S-wie, Warszawa — 0,4 mln. zł, Zakłady żyrardowskie — 1,4 mln. zł. (firmy podane w porządku alfabetycznym).

Powyższe dane prowadzą do wniosku, że zasadnicze cele systemu kompensacyjnego zostały osiągnięte: import towarów pokrył zapotrzebowanie wewnętrzne, umożliwiając zachowanie wytyczonych cen maximalnych na kawę i herbatę; eksport nie tylko pokrył dewizowo import, ale ponadto zapewnił pewną nadwyżkę dewiz; eksport posiadał charakter pionierski zarówno pod względem rodzaju towarów, jak i rynku zbytu; największy udział w transakcjach wiązanych przypadło na domy handlowe, których powstanie i rozwój były wytyczone w chwili konstruowania całego systemu.

Tem niemniej obrót kompensacyjny wykazał szereg wad. Przede wszystkim celowo wprowadzony liberalizm w trasakcjach wiązanych spowodował duże wahania zarówno w imporcie jak i w eksporcie. Przywóz odbywał się nierównomiernie, gdyż właściciel zezwolenia kompensacyjnego mógł sprowadzić towar w ciągu 9-ciu miesięcy; stąd wynikła czasami zbytnia kumulacja towarów importowych, a czasami niedobór towarów, co powodowało zbytnie zarobki, względnie nieprzewidziane i niezamierzone straty importerów. W eksporcie również obserwowano silne oscylacje cen sprzedaży na rynkach zamorskich zależnie od nacisku wywieranego przez importerów w stosunku do eksporterów, dostarczających materiału kompensacyjnego. Obserwacje tych niekorzystnych zmian prowadzą do wniosku, że liberalizm w wydawaniu nieograniczonych pod względem wartości zezwoleń kompensacyjnych bez ścisłego badania sytuacji w imporcie poszczególnych artykułów oraz bieżącego stanu zamówień eksportowych, powinien ulec ograniczeniu.

Niewłaściwie też była wyzyskiwana swoboda w dopuszczaniu firm bez szczegółowej selekcji do zawierania transakcji wiązanych. Zdarzały się wypadki powstawania niewielkich przedsiębiorstw specjalnie w celu zawarcia jednej lub dwóch dorywczych operacji kompensacyjnych, na czem kończyła się działalność tych firm. Bywało też, że do kompensaty przedstawiano eksport zupełnie nowych artykułów, jak papiery fantazyjne, gry towarzyskie ,konfekcja damska i t. p. bardzo wysokiej wartości, po czem okazywało się, że to są towary bardzo pośledniego gatunku w cenie wielokrotnie niższej niż była zgłoszona. Zdarzało się także, że dewizy wpływały do Polski odpowiednio do wysokiej wartości towaru eksportowanego, w stosunku do której importer miałby prawo do równowartościowego przywozu; proweniencja tych dewiz nie zawsze była łatwa do uchwycenia. Te właśnie objawy wywołały słuszną krytykę systemu. Dlatego też jeśli przyjąć, że w 80% system kompensacyjny zdał egzamin, to mimo wszystko powstała potrzeba bliższej selekcji eksporterów, zapewniającej solidność w dokonywanym eksporcie, a ponadto — w wątpliwych wypadkach — konieczność uzupełnienia kontroli w krajach odbiorczych, czy dany towar, ściśle określonej jakości, po zgłoszonej cenie, został efektywnie sprzedany we wskazanym kraju odbiorczym.

Cały system kompensacyjny odgrywa w handlu zagranicznym Polski niewielką rolę, gdyż w przeszło miliardowym przywozie obejmuje import kilkunasto milionowy; po stronie eksportu daje wpływ dewiz o ca 20% wyższy niż wartość sprowadzanych w tym systemie do Polski towarów. Cały ten obrót miał dotychczas charakter raczej eksperymentalny i wynalezienie systemu idealnego zarówno u nas, jak i zagranicą na odcinku kompensaty jest z natury rzeczy niewykonalne. Kompensata ma bowiem spełnić cały szereg zadań nie zawsze łatwych do skoordynowania: zapewnić bieżącą konsumcję artykułów importowanych przy możliwie niskich cenach w detalu, bez uszczerbku zapasów dewizowych przeznaczonych na pilniejsze cele, gwarantując nawet nadwyżkę dewiz z eksportu, który ma być możliwie pionierski na rynki wyłącznie zamorskie na zasadach możliwie ścisłej kierunkowości, przy współudziale największej ilości najbardziej poważnych domów handlowych, których brak w eksporcie szczególnie w Polsce ciągle odczuwamy.

Zagadnienie systemu kompensacyjnego od strony importu jest w tej chwili najmniej ważne. Natomiast po stronie wywozu kompensata jest instrumentem pożytecznym. Gdy jest mało prawdopo-

dobne by wywóz wartości prawie 30 mln. zł. dokonany w ciągu omawianych 18 miesięcy w ogóle powstał, względnie, by mógł być utrzymany w przyszłości po zniesieniu systemu. Eksport do krajów zamorskich jest niewątpliwie najtrudniejszym zagadnieniem, które dotychczas może najsłabiej zostało rozwiązane. Wynalezienie odbiorców w krajach, gdzie dotychczasowi główni dostawcy zachodnio - europejscy dysponują udoskonalanym od wielu lat własnym aparatem handlowym i bankowym, jest bardzo trudne, szczególnie, gdy kraj pionierski, jak Polska, oferuje towar mało znany. Nie mając do dyspozycji należycie rozbudowanej sieci własnych domów eksportowych względnie importowo - eksportowych jest ważne, by wyzyskać siłę fachową, stosunki i kapitały, jakimi dysponują nasi importerzy, względnie ich dostawcy z krajów zamorskich. Niewątpliwie bez kompensaty skierowanie wysiłków importerskich na eksport byłoby niewykonalne. Ta myśl przyświecała zresztą nie tylko w Polsce. Niemcy najszerzej rozbudowały clearing i kompensatę w ramach których obraca się dzisiaj $^4/_5$ handlu zagranicznego Rzeszy (vide „Konferencja Eksportowa" — referaty i przemówienia, 1937 r. wyd. Związku Izb Przemysłowo - Handlowych str. str. 42 — 47). Praktyka niemiecka również wykazała wszystkie te braki, jakie obserwujemy w naszym systemie kompensacyjnym, dała jednak bardzo poważne efekty dodatnie, gdyż umożliwiła przywóz w dużej ilości surowców z krajów zamorskich w obrocie bezdewizowym. W miarę doświadczeń zjawiska negatywne w dystrybucji towarów bądź importowych, bądź eksportowych były tam eliminowane przez ściślejszą selekcję firm, towarów i rynków zbytu. Jeśli jednak wolumenowo system kompensacyjny dał Niemcom większe rezultaty, niż u nas w Polsce to musimy zdać sobie sprawę z różnic w samym podejściu polityczno-handlowym do zagadnienia kompensaty u nas, a zagranicą. Jak z podanych szczegółów wynika, transakcje wiązane dotyczą u nas importu artykułów kolonialnych i innych drugorzędnych towarów, podczas gdy np. w Niemczech włączone są do tego obrotu również i surowce.

Inaczej wygląda ekspansja eksportu, gdy po stronie przywozu przyjmuje się towary wartości np. 200 mln. zł i cały dotychczasowy wywóz (do krajów pochodzenia towarów importowanych) np. 120 mln. zł; w takiej sytuacji rozwój wywozu jest stymulowany przez importerów, szukających eksportu dla pokrycia marży 80 mln. zł; istnieje wtedy małe prawdopodobieństwo niedostatecznej pionierskości dodatkowego wywozu.

Inaczej jednak przedstawia się kompensata, gdy wachlarz importowy jest tak wąski, jak to ma miejsce w Polsce; odpowiednikiem po stronie eksportu może być też odpowiednio niewielka ilość towarów i to skrupulatnie dobieranych; nie może być jednak mowy (w przyjętych ramach wartości obrotu kompensacyjnego) o bardzo silnej ekspansji eksportowej, jak to ma miejsce w Rzeszy.

Gdyby się więc oprzeć na zachodnim przykładzie, należałoby włączyć do kompensaty nowe towary. Różne względy polityczno-handlowe utrudniają rozszerzenie listy artykułów importowanych na dodatkowe towary chyba, że to byłyby surowce. Taki rozwój systemu nie jest jeszcze w tej chwili u nas uzasadniony, gdyż przywóz surowców dla potrzeb przemysłu odbywa się na razie bez żadnych trudności w obrocie wolnodewizowym. Gdyby się okazało, że obrót dewizowy kształtuje się niepomyślnie, że eksport np. artykułów rolnych, albo wywóz przypadkowy, ale poważny, jaki miał miejsce w roku ubiegłym, uległ redukcji, względnie, jeśli odbudowywującym się kredytom w zakresie importu surowcowego nie towarzyszył równoległy rozwój dodatkowego eksportu, wówczas mogłoby się stać aktualne uzależnienie przywozu surowców od eksportu kompensacyjnego. Wtedy powstałaby sprawa nie tyle systemu wymiany towarowej, a polityki cen wewnętrznych. Np. w Niemczech 1 kg bawełny, płaconej dewizami kosztuje 0,80 RM, w kompensacie — 1,12 — 1,15 RM, a 1 kg bawełny syntetycznej obecnie — 1,45 RM. Podrożenie bawełny o 40% jest równoznaczne ze zwyżką cen przędzy — o 25%, a tkanin — o 12%, jeśli przyjąć zawartość bawełny w przędzy — ca 60%, a w tkaninach — ca 30%. Analogiczne rozważania co do importu wełny, skór itp. dałyby jasny obraz obciążenia obrotu wewnętrznego, gdyby system kompensacyjny miał być rozszerzany na import surowców. Wzrost cen byłby odpowiednio mniejszy przy stopniowym wprowadzaniu do transakcji wiązanych nie całości importowanego surowca, a tylko jego części np. dodatkowego importu ponad przywóz podstawowy, na który zapewniony jest przydział wolnych dewiz.

Przed decyzją, czy i w jakim stopniu system stosowany w Polsce powinien ulec rewizji, należy zdać sobie sprawę z zasięgu obrotu towarowego, jaki kompensacie ma podlegać. Pozostawiając dotychczasowy zakres importu, rewizja zasad kompensaty dotyczyłaby przywozu, który miałby się odbyć po październiku 1938 r., do tego bowiem czasu import, jak wyjaśniliśmy, jest w drodze kompensaty zapewniony. Możnaby też, na razie raczej teoretycznie, rozważać racjonalizację obecnych metod na wypadek, gdyby import surowcowy miał również odbywać się na drodze handlu wiązanego.

Wydaje się, iż w obecnej fazie analizy możnaby bez zastrzeżeń zalecić wprowadzenie następujących korektur:

1) selekcję firm pod względem kapitału, kwalifikacji i dotychczasowych wyników w eksporcie; chodziłoby przede wszystkim o domy handlowe, ale również i o fabryki, eksportujące własne produkty, o ile posiadają odpowiedni aparat handlowy w kraju, lub i zagranicą;

2) selekcję towarów t. zn. dopuszczanie do kompensaty tylko takich towarów, które bez kompensaty nie mogą być wywożone;

3) eliminowanie drobnych transakcji, nieodgrywających żadnej roli w ekspansji eksportu;

4) w wywozie towarów, posiadających charakter masowy, a dokonywanym przez kilka firm jednolitych warunków sprzedaży zagranicą;
5) możliwie ścisłe badanie stanu zawartych transakcji eksportowych oraz bieżącego zapotrzebowania na towary importowe;
6) w wypadkach wątpliwych kontrola towarów w kraju odbiorczym.

Jest również proponowane rozwiązanie dalej idące. Do transakcji wiązanych możnaby dopuszczać jedynie import i eksport zorganizowany. Transakcje kompensacyjne byłyby zawierane przez zrzeszenia importerów, zapewniające jednolite warunki przywozu, oraz równowagę w dystrybucji na rynku wewnętrznym. Po stronie eksportu figurowałyby wyłącznie firmy zakwalifikowane zarówno przemysłowe jak i handlowe; warunki eksportu i sprzedaży byłyby jednolicie ustalane przez zrzeszenia, jeśli produkcja danego towaru jest nimi objęta. Dla równowagi między importem a eksportem byłby z góry ustalony plan, określający rozmiary i rodzaj przywozu i wywozu. W ramach dokonanego wywozu organizacje importerskie dzieliłyby odpowiedni przywóz pomiędzy swoich członków wg z góry ustalonego klucza.

Poprzednio wymienione korektury w obowiązującym systemie usunęłyby w znacznym stopniu niedomagania, wynikające z dzisiejszych zasad kompensaty; nie dałyby one jednak zupełnego ujednolicenia warunków przywozu, czy wywozu.

Rozwiązanie ostatnie dalej idące oparte o zrzeszenia importerskie i ściślepszą kontrolę warunków, na jakich odbywa się eksport, niewątpliwie silniej redukowałoby niebezpieczeństwa tkwiące w niezupełnie zrównoważonej dystrybucji towarów importowanych w Polsce i eksportowanych zagranicę; taka jednak kompensata zerwałaby bezpośrednie związanie importera z eksporterem t. zn. importer nie byłby zainteresowany w podtrzymywaniu wywozu w stopniu dotychczasowym, gdyż każdy eksport wszedłby do ogólnej puli organizacji importerskiej, a importer mógłby otrzymać przywóz w ilości nie tej, jakaby mu się należała za dokonany wywóz, a jedynie w wysokości wynikającej z klucza branżowego. Niknie więc główna zachęta, jaką dotychczas importerzy widzieli w bezpośrednim organizowaniu eksportu. Wreszcie wysuwana jest obawa, że organizacje przywozowe, dysponujące całym przywozem nie zawsze szłyby po linii najniższej t. zw. renty kontyngentowej, a z drugiej strony, że eksporterzy, których wybiera organizacja importerska mogliby mieć stanowisko uprzywilejowane, może w niektórych artykułach monopolistyczne, co nie zawsze prowadziłoby do najsprawniejszego, a pod względem kosztów własnych i cen uzyskiwanych zagranicą — najracjonalniejszego eksportu.

NOTATKI

NIESAMOWITA OCHRONA

Kwestia t. zw. ochrony lokatorów ma w sobie coś — niesamowitego.

Ochrona lokatorów pomyślana została jako narzędzie polityki socjalnej, która nie mogła przejść do porządku nad niedoborem mieszkań po wojnie. A skoro w razie swobodnej gry sił mogło grozić, że zwichnięcie równowagi pomiędzy podażą a popytem wywoła masowe rugi gorzej uposażonych lokatorów, państwo uznało za stosowne skasować swobodną grę sił i zatrzymać użytkowników mieszkań bez względu na wolę właścicieli domów.

Wojenna racja stanu była nie bez racji. Ale od zakończenia działań wojennych minęło lat 17, a ochrona lokatorów nadal obowiązuje. Drobne wyjątki w rodzaju jej skasowania w odniesieniu do mieszkań wielkich zostały zniwelowane moratorium mieszkaniowym na rzecz bezrobotnych. Mówi się, co prawda, o stopniowym zniesieniu ochrony lokatorów, ale nikt tym zapewnieniom nie wierzy. Bo przecież wystarczą dwa — trzy wiece zrzeszeń lokatorskich, a „czynniki miarodajne" odraczają czem prędzej wejście w życie nowych przepisów o najmie lokali mieszkaniowych.

Trudno zresztą wyobrazić sobie inną politykę wymienionych „czynników", skoro podaż małych mieszkań nie nadąża za przyrostem ludności miejskiej. Wpakowano wprawdzie w budownictwo mieszkaniowe ponad 700 mil. zł, za co powstało z górą 100.000 mieszkań o 300.000 izb. Jeżeli przyjmiemy optymistycznie, że inicjatywa prywatna zbudowała bez pomocy funduszów publicznych również 300.000 izb i że na 1 izbę w nowych domach przypadają 2 osoby, to otrzymamy, iż na przestrzeni lat 1924 — 1937 znalazło nowy dach nad głową 1,2 miliona osób. A tyle akurat stanowi przyrost ludności w miastach, liczących ponad 100.000 mieszkańców, całość zaś przyrostu ludności we wszystkich miastach ponad 10.000 mieszkańców wyraża się liczbą 2 milionów. Niedobór mieszkaniowy wyniesie przeto conajmniej 800.000 ludzi.

Niesamowitość kwestii ochrony lokatorów w świetle przytoczonych liczb staje się naprawdę jaskrawa. Bo reglamentacja „starych" mieszkań i czynszów zupełnie nie zapobiega powstaniu tak poważnego niedoboru. A zapobiec nie mogła, zwłaszcza że dziesiątki tysięcy lokatorów „starych" małych mieszkań korzystają z takiej premii, o jakiej nie mogą myśleć lokatorzy, zajmujący małe mieszkania w domach „nowych". Ponieważ zaś premia przypadła nie tylko najbiedniejszym i bezrobotnym, ale każdemu, którego potrzeby są tak skromne, iż mu jedna izba całkowicie do szczęścia wystarcza, więc szerokie masy lokatorów zostały pozbawione zasadniczego bodźca do zmiany swego stanu posiadania. Bo w Polsce miarodajną dla prostego człowieka jest cena, nie zaś — jakość otrzymywanych za nią świadczeń.

Zagadnienie ochrony lokatorów powinno być rozwiązane w odmiennej, niż dotychczas, płaszczyźnie. Skasowanie tej ochrony nie powinno mieć na oku jednostronnego dobra „kamieniczników", jak jej utrzymanie nie może kultywować *biernej* postawy wobec życia, której tak entuzjastycznie hołdują organizacje lokatorskie. One są jednym ze sprawców tak słabego nacisku na czynnik publiczny, aby zdecydował się na budowę tanich a jednak opłacalnych mieszkań typu proletariackiego. Osiadłe na laurach i pogrążone w kwietyzmie dzięki wyjątkowym przepisom prawnym, organizacje te nie zwróciły uwagi na wieloletni charakter budownictwa, finansowanego przez państwo, charakter luksusowy, wielkopański.

Ustawie o zniesieniu ochrony lokatorów powinno się nadać znaczenie definitywnie przemijające. Terminy likwidacji tego gospodarczego i socjalno-wychowawczego dziwactwa muszą być bezapelacyjnie dotrzymane. Standart mieszkaniowy całego społeczeństwa nie może cierpieć z powodu miłej doktryny i sentymentalizmu, który dziwnie nie pasuje do niezwykle ciężkich warunków pracy i rozwoju gospodarczego w Polsce.

br.

SOLIDARNOŚĆ

O przeroście pośrednictwa i jego kosztów mówi się i pisze w Polsce w nadmiarze. Nie każdy zdaje sobie sprawę, na czem ten przerost polega, wystarczy jednak, że wszyscy domagają się ukrócenia nadużyć handlu pośredniczącego, zbliżenia wytwórcy do spożywcy, potanienia cen etc. Skoro zaś „verba volant", logiczną koniecznością staje się przejście od słów do czynu i zastąpienie pośredników własną organizacją handlową.

Do organizowania na własną rękę dostaw i zbytu rzuciło się m. in. rzemiosło. Na terenie np. Wołynia obliczono, że przeszło 12 milionów zł. rocznie zostawia ono w kieszeniach pośredników przy zakupie surowców, suma zaś przeszło 150-cio milionowej produkcji świadczy, że gra byłaby warta świeczki. Świeczką taką miały też być, w rozumieniu rzemieślników wołyńskich (i innych), spółdzielnie handlowe, aczkolwiek organizatorzy zdawali sobie sprawę z braku odpowiednich kapitałów, znajomości rynku i zmysłu organizacyjnego wśród sfer zainteresowanych.

Praca nad spółdzielczością handlową rzemiosła postępuje jak z kamienia. I oto w sprawozdaniu Izby Rzemieślniczej w Łucku za rok 1936 czytamy co następuje:

„Ruch spółdzielczy, jako ruch społeczny, wymagający pewnego wyrobienia i *solidarności* (podkreślenie „G. N.") — jest dość trudny do spopularyzowania wśród rzemiosła. Do form spółdzielczych rzemiosło wołyńskie odnosi się z pewnego rodzaju uprzedzeniem..."

Brak wyrobienia nie jest grzechem. Ale na trudność usunięcia tego braku wpływają... niepowodzenia dotychczasowych prób w tym względzie. „Smutne przykłady" w latach poprzednich nie stanowią — jak

pisze Izba — „gruntu podatnego do powstawania nowych placówek spółdzielczości rzemieślniczej”. Nie bez znaczenia wreszcie jest fakt, iż do spółdzielni handlowych garną się głównie „rzemieślnicy finansowo najsłabsi i z rzemiosł najbardziej spauperyzowanych, którzy sami nie posiadając odpowiednich zasobów finansowych nie są w stanie stworzyć niezbędnego kapitału operacyjnego dla założonej spółdzielni”. A gdy już ten kapitał zostanie stworzony, najczęściej nieudolne czy niesumienne kierownictwo roztrwoni go w szybkim czasie.

Jeszcze wyraźniej stawia sprawę Izba Rzemieślnicza w Lublinie. Ze zwykłą sobie szczerością i uczciwością pisze ona, że „obojętny stosunek rzemieślnika do działania zespołowego nie uległ zmianie. Wszelkie próby organizowania spółdzielni czy innego rodzaju spółek natrafiały na nieprzezwyciężone przeszkody, skoro tylko okazywało się, że nie ma do dyspozycji gotowych funduszów z zewnątrz. A konkretnych potrzeb, w postaci jakiejś gotowej do wzięcia większej roboty lub dostawy, nie było. W dalszym ciągu działano wyłącznie pojedyńczo, na własną rękę i ryzyko ze wszystkiemi dodatniemi i ujemnemi stronami takiego postępowania”...

Rezultat jest zaś taki, że na terenie Lubelszczyzny działa, a raczej — wegetuje, raptem 6 spółdzielni, na terenie Wołynia — 7, gdy samoistnych rzemieślników oba te województwa liczą conajmniej 70.000. Co więcej, spółdzielnie rzemieślnicze ledwie wiążą koniec z końcem, tak, że Izba Wołyńska tylko o jednej z nich mogła napisać: „prosperuje wcale nieźle”. Spółdzielnią tą jest zrzeszenie szewców — Ukraińców.

Czy czasami nie dlatego, że Ukraińcy rozumieją, iż spółdzielczość a solidarność to jedno i to samo?...

k. b.

TOUT COMME CHEZ NOUS

Najbardziej umiarkowani i najbardziej obiektywni krytycy polskiego pawilonu na wystawie paryskiej przyznają, że pawilon ten jest artystycznie doskonały, nie daje natomiast — swą treścią wewnętrzną — przekroju polskiej aktualnej rzeczywistości. Padają w związku z tem głosy, że jako pawilon, dajmy na to, Luksemburga, byłby on po prostu rewelacją. Ale Rzeczypospolitej Polskiej, kraju, obszarem i ludnością stojącego w pierwszych szeregach państw europejskich, bynajmniej nie reprezentuje.

Pogląd ten nie wydaje się słuszny. Jest on optymistyczny i nie uwzględnia naszych istotnych cech narodowych. Bo jeżeli pawilon polski demonstruje „wnętrze willi zamożnego konstruktora samolotów“, a kiosk Państwowego Monopolu Spirytusowego i firmy Wedel rzucają się celowo każdemu w oczy — to w tych trzech pokazowych punktach zdaje się mieścić, pomyślana świadomie czy podświadomie, reprezentacja polskich dokonań.

Wolałbym osobiście, żeby te typowe okazy, których strona artystyczna jest przedmiotem rzetelnego podziwu i takiejże zazdrości, były dziełem świadomego błędu, powziętej świadomie złej koncepcji. Obawiam się jednak, iż owe reprezentacyjne elementy naszego pawilonu uwypukliły się tam na sposób — że się tak wyrażę — freud‘owski. Innymi słowy, autorzy polskiego pawilonu kierowali się przy wyborze i podkreślaniu poszczególnych elementów tkwiącym w każdym z nas poczuciem, że i Polaków stać na wzorowe oazy dobrobytu i luksusu, a zatem one mają służyć do demonstrowania, kim jest Polska i ku czemu dąży.

Metoda, którą w ten czy inny sposób kierowali się organizatorzy polskiego pawilonu, jest nam dziwnie znana. „Dogonić i przegonić“. Patiomkinowskie wsie splatają się harmonijnie ze wspaniałym sanatorium dziecięcym w Istebnej, w tej Istebnej, gdzie w ciasnych szkolnych murach szerzy się gruźlica, z pięknymi gmachami Kas Chorych, które prawdziwie chorym dają namiastki lecznictwa, z imponującymi gmachami i boiskami kilku wybranych szkół dla wybranej szczupłej elity. Dogoniliśmy i przegoniliśmy zgniły zachód Europy. Bijemy rekordy, o których na Zachodzie głucho. Przecież takiej wódki i takich czekoladek wedlowskich mogą nam bez żadnej przesady zazdrościć co najprzedniejsi smakosze świata.

Ale czy mają nam również zazdrościć stosunku, jaki zachodzi pomiędzy koncepcją willi „zamożnego konstruktora somolotów“ a t. zw. rzeczywistością?... Czy im pawilon polski pokazał ilu w Polsce ludzi konstruuje, buduje i oblatuje samoloty? Czy dowiedzieli się zeń, że Polska jak gdyby postawiła krzyżyk nad zwykłymi szosami i być może dlatego na wystawie paryskiej reklamujemy polskich Bleriotów, że nie stać nas na zwyczajnych drogomistrzów i inżynierów drogowych?...

Polski pawilon nie jest gorszy od obowiązującego w Polsce stosunku do rzeczywistości. Daje on tylko kopię zakłamania i schlebiania fikcjom. Pokazuje przekrój nie tylko tego, co jest, ale i tego, co chcemy mieć. Jakaś tam Portugalia, rządzona przez prof. Salazara, realizującego zasadę „surowego życia”, wystąpiła na wystawie w sposób, który pokazuje, czym ten kraj był i jest, ku czemu i jakimi drogami dąży. Mocarstwowa Polska zdobyła się na jedno, również dla niej charakterystyczne: piękną, głęboko pomyślaną salą uczciła swych Wielkich Zmarłych.

Żywych reprezentują luksusowe wille (z kredytów B. G. K.?...), „la vodka polonaise“ i znakomite wyroby Wedla. Ponadto kilka niecharakterystycznych i dlatego nie uwypuklonych należycie drobiazgów: trochę turystyki, trochę Gdyni... Tout comme chez nous.

z. i.

NIEPOKOJĄCE SKŁONNOŚCI

Dostojewski użył w jednej ze swych książek określenia „upojenie administracyjne”. Genialny powieściopisarz stosował to określenie do uzbrojonych w wysokie decyzje biurokratów. Jako przykład człowieka „administracyjnie upojonego” przytacza Dostojewski kasjera kolejowego, którego zachowanie się niekiedy sprawia wrażenie, iż życie kupujących bilety uzależnione jest od jego jakiegoś drobnego kaprysu.

Skłonności „do upajania się” — to bardzo poważna choroba, jeśli przyjmie charakter epidemii. W ta-

kim wypadku staje się ona groźniejsza od epidemii tyfusu, czy cholery. Te bowiem choroby można przy nowoczesnych zdobyczach medycyny zlokalizować, zdusić w zarodku. Natomiast jeśli choroba „upajania się“ rozpowszechni się w społeczeństwie, to walka z nią jest bardzo utrudniona a nieraz wręcz i niemożliwa.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że owa groźna choroba, skłonność do upajania się, znalazła u nas bardzo podatny grunt.

Osiem lat temu żyliśmy w atmosferze dobrej koniunktury. Wysokie ceny rolne, rosnąca produkcja, zwiększające się zatrudnienie, import, eksport, szybkie obroty, duże zyski, — wprawiły nas w błogi stan upojenia. Zaćmienie, spowodowane wysoką koniunkturą sprawiło, że nie spostrzegliśmy... wielu milionów bezrobotnych wiejskich. I proszę zważyć, trzeba było w Polsce sześciu lat ciężkiego krzyzysu gospodarczego aby zagadnienie bezrobocia można było w Polsce spostrzec. Oczywiście, lepiej późno niż nigdy. Na tle rozwijającego się przesilenia ekonomicznego stwierdziliśmy, że nasze gospodarstwo społeczne posiada bardzo wiele wad, że nie posiadamy dróg, że rzeki nasze są nieuregulowane, a pola nie są zmeliorowane i że mamy nadmiar rąk do pracy.

A więc stwierdziliśmy, że w gospodarstwie narodowym Polski nie wszystko jest w porządku. O niektórych brakach strukturalnych mówiło się w końcu minionego krzyzysu bardzo dużo, weźmy choćby wspomniane bezrobocie. Pisało się na ten temat wiele, mówiło się o nim w odczytach. Roztkliwiano się nad tym środowiskiem nędzy, podziwiano wytrzymałość chłopa w zaciskaniu pasa. Posypały się cyfry określające bezrobocie na 3, 4, 8 a nawet na 12 milionów. Kwestia bezrobocia posiada z tego okresu poważny dorobek publicystyczny.

W międzyczasie ceny rolne poszły w górę, produkcja przemysłowa zaczęła pomału wzrastać, odbiliśmy od dna kryzysu gospodarczego i zaczęliśmy wchodzić w okres lepszej koniunktury. I cóż obserwujemy? Oto pomalutku wchodzimy w taki sam stan błogiego upojenia w jakim byliśmy w okresie poprzedzającym ostatni kryzys. Uwaga naszej prasy skoncentrowała się głównie na tem, jakie są obroty, jak wzrasta produkcja, czy istnieją zyski, natomiast o brakach strukturalnych naszego gospodarstwa narodowego pisze się i mówi obecnie coraz mniej.

Już nie piszemy o nędzy ludności wiejskiej, przeciwnie — powiadamy, że położenie chłopa bardzo się poprawiło, że po prostu zamożność zapanowała na wsi. A co się stało z bezrobociem wiejskim? Czy przestało ono istnieć? Czy lepsza cena na żyto lub inny artykuł rolny spowodowała rozwiązanie tego zagadnienia? Nie, panowie, tak nie można. Nie można ulegać złudzeniom, jakoby poprawa koniunktury mogła mieć zasadniczy wpływ w naszych warunkach na poprawę położenia bezrobotnej ludności wiejskiej, na wzrost jej zatrudnienia. Nie należy ulegać chorobie upojenia, aby w stanie tym nie zapomnieć o istnieniu wielu milionów bezrobotnych.

Kwestia bezrobocia wiejskiego, podobnie jak wiele innych braków strukturalnych nie może być odłożona do czasu, aż... zapanuje znowu kryzys.

m. a.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.